ŻYCIE

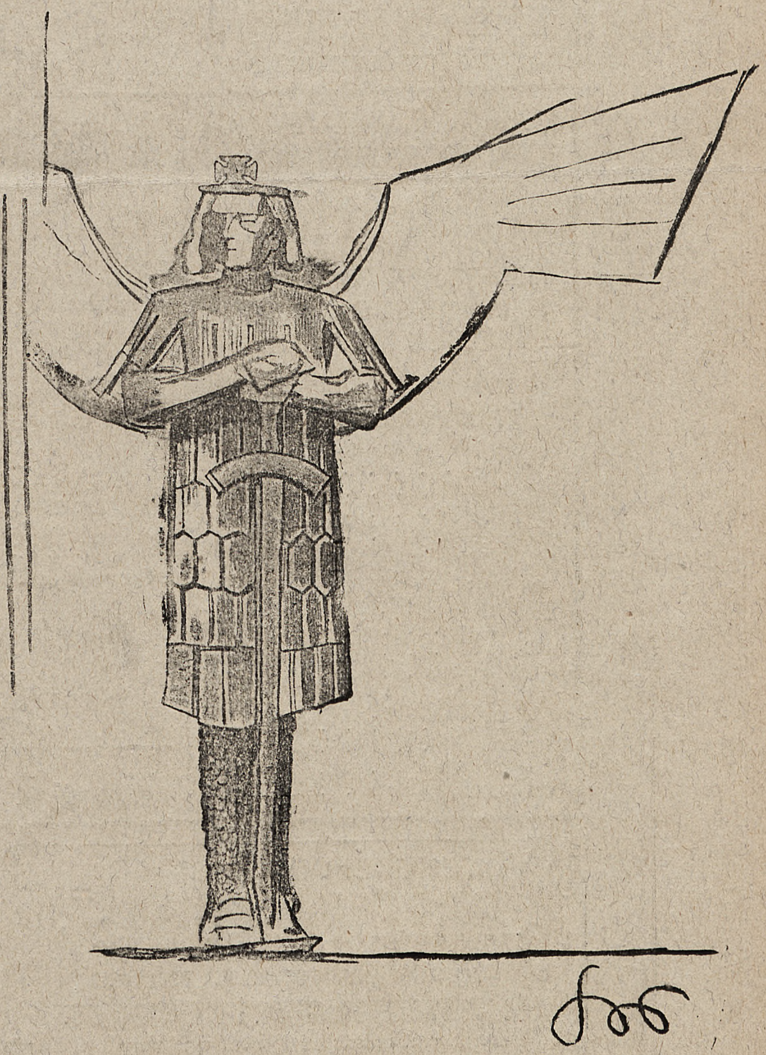
ROCZNIK II. ZESZYT XI.

DNIA 11. MARCA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA:
WE LWOWIE, ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A.
ADMINISTRACYA:
UL. DĄBROWSKIEGO 2. PARTER NA PRAWO.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURYERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::



ROCZNIK XIII. LUTY 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, :: :: NAUCE I SZTUCE. :: ::.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Austryi:

rocznie	K 20·—
półrocznie	„ 10·—
kwartalnie	„ 5·—
Nr. pojedynczo . . .	„ 1·75

zagranicą:

	Mk.	fr.	Dol.
rocznie	20·—	24·—	5·—
półrocznie . . .	10·—	12·—	2·50
kwartalnie . .	5·—	6·—	1·50
Nr. pojedynczo . .	2.—	—	—

w Król. i Rosyi

rocznie	rb. 10·—
półrocznie	„ 5·—
kwartalnie	„ 2·50
Nr. pojedyńczo . .	„ 1·—

CZĘŚĆ PIERWSZA:

CZĘŚĆ DRUGA:

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:

KRAKÓW, — ULICA STACHOWSKIEGO L. 14.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

L. cz. pr. 29/2/11.

W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

I. C. k. Sąd krajowy karny, jako Trybunał prasowy we Lwowie, orzekł na wniosek c. k. Prokuratoryi Państwa, że treść artykułu, zamieszczonego w czasopiśmie „Życie“ Nr. VIII z dnia 18 lutego 1911 r. pod tytułem „Marya Magdalena“ od „Debora mieniła się“ do „dodała łagodniej“ i od „spojrzała na piersi“ do „robotę snycerza“ zawiera znamiona zbrodni występku z § 516 i uznał dokonaną w dniu 17 lutego konfiskatę za usprawiedliwioną i zarządził zniszczenie całego nakładu powyższego artykułu i wydał w myśl § 493 p. k. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego.

II. zarazem wydał nakaz odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa przewidziane w § 21 ust. druk. z 17 grudnia 1862 Dz. p. p. N. 6. ex. 1863 tj. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 koron.

Ck. Sąd krajowy karny, Lwów, dnia 19 lutego 1911.

(Podpis nieczytelny)

W. LIS.

UCHWAŁY DELEGACYI, A INTERESY POLSKIE.

Delegacya austryacka ukończyła rozprawy i głosowanie nad budżetem armii. Ukończyła je tak, jak należało przewidzieć, uchwaleniem w całej ich rozciągłości, olbrzymich wydatków na rzecz armii, floty, na wybudowanie czterech drednaftów. Na ten ostatni cel ma pójść 312 milionów koron, pójdzie zapewne więcej, szczególniej, jeżeli jeden z kolosów morskich naprawdę zostanie wybudowany przez Węgrów, którzy zwykle najmniejszych ceremonii nie robią, gdy idzie o kieszeń austryackiego podatkowicza. Zaś w większości, kornie przytakującej wszelkim życzeniom p. ministra wojny i p. Montecucculego znajdowali się delegaci Koła polskiego.

I to można było przewidzieć. Od samego początku widocznem było, iż opozycyjne wnioski delegatów polskich przeznaczone były tylko dla wyborczej *vile populace* i że po nich nastąpi czyn wcale nie opozycyjny, pomimo niespełnienia przed rząd zobowiązań *ex re* kanałów i wielu innych rzeczy.

Nie tylko należało to przewidzieć, ale nawet możnaby powiedzieć, że w zasadzie polityka nasza jest słuszną. Austrya pozwala w pewnym za-

kresie rozwijać się narodowości polskiej, w Austryi jest nam lepiej, niż gdziekolwiek, w naszym interesie leży zatem utrzymanie potęgi austryackiej. Bez armii austryackiej, a przynajmniej bez silnej armii, Galicya tak samo byłaby wystawioną na inwazyę barbarzyństwa rosyjskiego, jak pierwsza lepsza Kuldża — oczywiście o ileby armii austryackiej, nie zastąpiła polska.

To też członkowie Koła polskiego na każdy zarzut czyniony ich zachowaniu się, mają gotową odpowiedź: „z ciężkiem sercem nałożyliśmy na naród polski nowe wydatki, ale musieliśmy tego dokonać, gdyż w przeciwnym razie mogłyby nam grozić jeszcze większe wydatki, połączone z licznemi klęskami.“

I trzeba przyznać, że — o ile się nie jest wyznawcą socyalizmu, który znajduje inne wyjście — trudno nie zgodzić się z powyższą z a s a d ą.

Gdy jednak przejdziemy od z a s a d y do k o n k r e t n e g o f a k t u, to zdaje mi się, że będziemy musieli dojść do wniosków zupełnie innych.

Zastanówmy się bowiem, czy obowiązani jesteśmy popierać Austryę w k a ż d e j postaci, czy zawsze w naszym interesie leży wzrost lub choćby utrzymania jej potęgi wojennej?

Już samo podobne postawienie kwestyi wystarcza, by wywołać odpowiedź odmowną. Rzeczywiście, nie jest dla nas korzystną ani potrzebną Austrya z r. 1846, z r. 1874, gdy powstańców polskich wydawano Rosyi, natomiast czego potrzebujemy, to Austryi z r. 1863, kiedy w Galicyi pod okiem władz formowały, ekwipowały i zbroiły się wielotysięczne oddziały powstańców, oraz Austryi konstytucyjnej, sprzyjającej rozwojowi naszej narodowości. Jednem słowem chcemy mieć Austryę, wrogą Rosyi, nie naodwrót.

Przyjrzyjmy się, jaki cel miał najpoważniejszy z pomiędzy wydatków uchwalonych przez delegacyę głosami Koła polskiego — wydatek na flotę.

Dwa tylko mogą być pod tym względem przypuszczenia: albo idzie tu o udzielenie pomocy Niemcom, albo o możność prowadzenia wojny z Włochami i to, jak zaraz zobaczymy, wojny zaczepnej. *Tertium non datur*, gdyż Austrya nie ma kolonii, których by musiała bronić jej flota, ani zamierza zdobywać kolonie, co w chwili dzisiejszej byłoby szaleństwem zwykłem. A teraz rozpatrzmy te dwie alternatywy.

Austrya sprzymierzona jest z Niemcami. Obowiązana jest zatem pomagać temu państwu. To jest fakt, z którym należy się liczyć. Ale z obowiązku pomagania państwu niemieckiemu nie wypływa bynajmniej konieczność budowania drednaftów. Doskonała armia austryacka jest sojusznikiem, którego nikt dobrowolnie się nie wyrzeknie, nawet jeżeli nie stoją u boku tej armii drednafty. Więc delegaci polscy mogli spokojnie głosować przeciwko wydatkom na flotę, nie obawiając się, by z tego miało wyniknąć zerwanie trójprzymierza.

A pomaganie Niemcom, bezwzględne spełnianie każdego ich życzenia, nie leży ani w naszem interesie, ani w dobrze zrozumianym interesie Austryi. Niemcy są nadzwyczaj niepewnym sojusznikiem. Cała ich historya daje na to dowody. Począwszy od Polski którą zdradziły w roku 1792, porzucały one ciągle swych protegowanych, gdy tylko mogło im to jakąś doraźną korzyść przynieść. Tak postąpiły Niemcy z Boerami, z Marokkiem, z Persyą, teraz z Chinami, tak mogą każdej chwili postąpić względem Austryi. Przymierze niemiecko-rosyjskie, skierowane przeciwko Austryi, jest rzeczą możliwą, szczególniej gdyby do niego przystąpiły i Włochy. A nie jest nawet wykluczony sojusz Niemiec z Anglią, przyczem oba te kolosy wspólnie napadłyby i ograbiły państewka mniejsze, posiadające kolonie. Nie potrzeba chyba wykazywać, iż pomoc austryacka przy takiej imprezie, nie leży w interesie ani Polaków, ani żadnego innego narodu zamieszkującego czarno-żółtą monarchię.

A gdy ta zdrada nawet nie nastąpiła, to i tak flota austryacka nie jest dla nas potrzebna. Przydać się ona może Niemcom tylko dla wojny z Anglią (przeciwko Rosyi jest zupełnie zbyteczna) a wojna z samą Anglią nie jest korzystna, ani dla nas, ani dla Austryi. Państwo to nie potrzebuje wcale kolonii.

Rozpatrzmy teraz drugą alternatywę. Przedewszystkiem, należy stwierdzić, iż dla obrony od ewentualnej napaści Włoch, nie potrzeba drednaftów. Rzeczywiście, dla obrony tych paru portów które Austrya posiada, wystarczą w zupełności krążowniki, torpedowce i kontrtorpedowce, w połączeniu z armią lądową. Ta ostatnia zaś stoi na tak wysokim poziomie i ma od strony Włoch tak znakomite naturalne i sztuczne fortyfikacye, że nie potrzebuje się zupełnie obawiać Włoch. Nawet w razie wojny na dwa fronty, Austrya potrafiłaby się prawdopodobnie oprzeć najazdowi włoskiemu, używając do tego tylko części swej armii. Przy budowie statków, idzie zatem nie o obronę, ale o zaczepkę.

Zaś wojna zaczepna z Włochami musi mieć tylko jeden z 2 celów: albo zdobycie Wenecyi, albo zmuszenie Włoch do zgody na aneksyę Macedonii, czy innej jakiej prowincyi państwa tureckiego. Nie potrzebujemy chyba wykazywać że i jedno i drugie nie leży w interesie i naszym i Austryi. Najazd na Włochy w celu podboju byłby czemś wprost potwornem, czemu by się należało oprzeć wszelkiemi środkami, zwycięstwo i aneksya byłyby zarodkiem nieskończonych wojen, gdyż Włosi są indywidualnością narodową zbyt wyrobioną, by mogli pogodzić się z rozbiorem swej ojczyzny. Rozbijaniu Turcyi musielibyśmy się też sprzeciwić wszelkiemi siłami, gdyż państwo to jest największym naturalnym wrogiem Rosyi. Przyłączenie do Austryi jakiej prowincyi tureckiej, o ludności niekulturalnej, obniżyłoby znacznie poziom dążeń wolnościowych w Austryi, byłoby na rękę tylko zwolennikom niekonstytucyjnego despotyzmu. Powinniby się temu oprzeć i Polacy i Niemcy, i Czesi, i Węgrzy.

Pozostaje nam omówić trzecią alternatywę, której nie wymieniliśmy wyżej, gdyż ona wynika z dwóch pierwszych, mianowicie — wojnę z Włochami — powstałą z okazyi podziału Turcyi. O ileby się temu państwu nie udał eksperyment konstytucyjny, a nastąpił taki rozkład wewnętrzny, iż sąsiedzi rzuciliby się na nie, to Włochy mogłyby się oprzeć wkroczeniu Austryi, a wtedy silna flota, dająca możność szybkiego zgnębienia przeciwnika, byłaby potrzebną. Otóż taka alternatywa byłaby dla nas najfatalniejszą i uniemoże-

bnienie jej stanowi samo zupełnie wystarczający motyw, by oprzeć się budowie statków.

Bo rzeczywiście, co oznacza wojna z Włochami z okazyi podziału Turcyi. Nic innego, tylko sojusz zaczepno odporny z Rosyą, któraby nie mogła oprzeć się takiemu podziałowi. A sojusz z Rosyą, to znaczy polityka antypolska w Austryi, to znaczy zaprzedanie się Austryi Rosyi na długie lata, aż do . . . podziału Austryi przez Rosyę wzmocnioną i rozzuchwaloną. I w tym więc wypadku interesy nasze i austryackie są identyczne i wymagają oparcia się zwiększeniu floty austryackiej.

O ile delegacya polska ma mieć własną politykę zewnętrzną, to jedynem jej hasłem powinno być opieranie się wszystkiemu, co może prowadzić do wojny z Włochami, popieranie tego, co ma na celu wojnę z Rosyą i rozbicie tego potwora. Dla wojny z Rosyą każdy, bez różnicy partyi, poseł polski powinien przyzwalać na największe ciężary.

6. marca.



M. LELIWA.

HANDEL WŁASNOŚCIĄ NARODOWĄ.

Gdy rozpoczęliśmy ogłaszanie materyałów do smutnych dziejów Muzeum rapperswilskiego, ze strony ludzi najzacniejszych, lecz skłonnych zbytnio do pobłażania lekkomyślnym tenutaryuszom dobra narodowego, doszedł nas poważny głos protestu. Tłumaczyć starano się wszystko, wręcz wszystko, nawet spalenie wielotomowej, nieocenionej kolekcyi wycinków z gazet, pozostawionej przez Chodźkę, jedną i jedyną *ratio ultima*: brakiem funduszów. Oczywiście, uderza niewspółmierność przyczyny i skutku. Nie trzeba funduszów wielkich na to, by unieszkodliwić biednego i poczciwego dziwaka, szerzącego spustoszenie wśród zbiorów muzealnych; nie trzeba funduszów wielkich na to, by go momentalnie zastąpić pierwszym z brzegu inteligentnym studentem-Polakiem, który w blizkim Zurichu przypatrzy się katalogowaniu i konserwowaniu zbiorów muzealnych i przechowa przynajmniej w całości mienie narodowe do lepszych czasów, gdy nareszcie postara się naród, aby godnie była jego kultura reprezentowaną wobec Zachodu. Zachodziłoby inne, ważne pytanie, poważnie rozważone przez „Goniec“ warszawski: czy rządcy Rapperswilu spełniają swój obowiązek zabiegania o fundusze dla Muzeum, zapewnienia mu niezależnej egzystencyi, czy umieli przemówić do ciekawości obcych i do ofiarności swoich. Inna rzecz, czy możliwe to dzisiaj, gdy obcy opuszcza Rapperswil ze zdziwieniem i niesmakiem, Polak z rozczarowaniem i goryczą. Lecz nie idzie tu jeno o zaniedbanie; zarzucamy gospodarzom rapperswilskim zły szafunek mienia narodowego.

Bo oto sprawa niedawna, głośna w naszych sferach naukowych: sprawa t. zw. dubletów rapperswilskich.

Płynęły książki do Rapperswilu. Składali tułacze do skarbnicy narodowej najdroższy nieraz swój skarb: książnice, wyrosłe w ciągu wielu dziesiątek lat, roczniki starych pism, komplety starych druków. Zebrało się tą drogą w Rapperswilu, jak w każdej bibliotece, będącej własnością ogółu, dużo egzemplarzy zbytecznych. Było tego pono około 4000 druków, nadto jeszcze dużo druków ulotnych emigracyjnych. W tych warunkach zarząd, któryby miał szacunek dla mienia narodowego i dla ofiarodawców, *1-mo* postarałby się użyć tych druków zbywających, ażeby drogą wymiany z innemi instytucyami narodowemi a) uzupełnić zbiory własne, b) przyczynić się do uzupełnienia zbiorów instytucyi bratnich. Zwróciłby się więc 1) do Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich, 2) do Biblioteki Jagiellońskiej, 3) do Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie, 4) do biblioteki Akademii Umiejętności, 5) do mnogich bibliotek towarzystw naukowych w Warszawie, Poznaniu i Lwowie, 6) do bibliotek prywatnych, a więc Czartoryskich, Zamoyskich, Krasińskich, Kórnickiej, Poturzyckiej, Baworowskich itd. *2-do* Dublety, zbywające po wymianie, sprzedałby według cen, oznaczonych przez rzeczoznawców, tymże bibliotekom będącym własnością ogółu, lub użytkowi pospolitemu służącym. *3-tio* zwróciłby się z tą częścią zbiorów, które ani wymienić korzystnie, ani sprzedać polskim instytucyom się nie dały, do *Bibliothèque Nationale, British Museum* i nowo organizującej się we Wiedniu biblioteki dla historyi narodów słowiańskich, w skład której wszedł już z polskich zbiorów zbiór Narkiewicza-Jodki. 4-to w ostatnim rzędzie wolno mu było zwrócić się do handlarzy prywatnych, surowo dbając przytem o to, by przez niedocenienie objektu sprzedaży własność narodowa nie ucierpiała.

Cóż się stało? Oto gruchnęła w r. 1906 wieść, że kustosz Muzeum sprzedał hurtem wszystkie dublety rapperswilskie p. Iglowi, znanemu antykwarzowi ze Lwowa.

Na wieść o dubletach na sprzedaż zwrócił się dr. Eugeniusz Barwiński, *scriptor* Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie, bacznie obserwujący ruch księgarski w zakresie wydawnictw i źródeł do dziejów Polski, do zarządu Muzeum z interpelacyą. W odpowiedzi z dnia 19. lipca r. 1906 pisał do niego p. Żelisław Grotowski, zastępujący bibliotekarza w Rapperswilu: „Co do dubletów Muzeum, sprawa przedstawia się w sposób następujący: mieliśmy do odstąpienia około 4000 druków, oprócz tego dużą ilość t. zw. druków ulotnych emigracyjnych... Jeszcze w przeszłym roku zjawił się Igel i ofiarował dość porządną sumę za wszystko ogółem. Ma się rozumieć, Muzeum, dla którego książki te były ciężarem, przyjęło ofertę i książki powędrowały do Lwowa... Dla biblioteki, mającej mało miejsca pozbycie się dubletów za dobrą cenę jest dobrym interesem“.

Ile zapłacił p. Igel, niewiadomo. Podobno pięćset franków. Podobno sumy, za które dwie biblioteki lwowskie wykupiły od niego część dubletów, parokrotnie przeniosły kwotę, którą on Rapperswilowi zapłacił, a p. Igel zrobił na podróży do Szwajcaryi równie złoty interes, jak hiszpańscy konkwi-

stadorzy, wyłudzający złoto i klejnoty biednym dzikusom... Ot, poprostu zaszedł fakt zwyczajny: zadłużony szlachcic starej daty sprzedał za byle co zboże na pniu, hurtem, starozakonnemu dobroczyńcy.

W „Sprawozdaniu zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu za rok 1906“ (Paryż r. 1907) znajdujemy tylko następującą lakoniczną wzmiankę na str. 28:

„Sprzedano: druków (prócz znacznej części wtórotów bibliotecznych, w połowie za gotówkę, w połowie na wymianę oddanych antykwaryatowi Igla we Lwowie) sztuk 133; rycin sztuk 137; map sztuk 9“... Nie fatygowano się nawet oznaczeniem ilości sprzedanych dubletów. Dowiadujemy się natomiast, że tytułem zamiany otrzymano już tom XVII. Lelewela „Polski, dziejów i rzeczy jej“ potrzebny do kompletu i... rocznik „Herolda polskiego“ za rok 1898.

Na str. 45 wymieniono kwotę, jaka wpłynęła ze sprzedaży książek i duplikatów: 435 fr. (wyraźnie: czterysta trzydzieści pięć franków). Oczom wierzyć się nie chce...

Znowu na usta się ciśnie postulat, który wysunęła redakcya „Życia“: żądanie kurateli poważnych instytucyi narodowych nad Rapperswilem. Szacunek dla siwych włosów i posiwiałej zasługi na bok iść musi, gdy zagrożone dobro pospolite,

choć Brutus był mąż ze wszech miar szanowny
i tamto wszystko są szanowni ludzie.



ARYMAN.

POZDROWIENIE Z POLSKI.

Tułaczom polskim poświęcone.
Dnia 24 grudnia 1910 roku.

„My som żórawie“. Rozwinęlim skrzydła pod dalekością nieb, i wyżeglowalim na obce brzegi.

A kiedy znowu uniesiem skrzydeł, kiedy kluczem do bram przyszłości polecim, w kraj nasz znowu — będzie już wiosna, i zakwitną pola nadziejną zielenią oziminy.

Tak marzy tułacz polski. Gdzie jaka jest na świecie ziemia i gdzie jakie miasto, wszędy są polscy tułacze. Schodzą się po podniebnych piąterkach wielkich miast, by wypaloną wyobraźnią nową Polskę budować, od znojnej pracy w kopalniach i na cudzej roli unoszą czoła i oczy smutne, by kląć ojczyznę, z której wygnała ich niedola i niewola, by w nieśmiałem marzeniu widzieć zjawę, cud — Nową Polskę — podleją, nie mogąc w sobie zabić zła polskiego — szlachetnieją i mężnieją wyolbrzymiając w sobie tęskotę do mającej się stać rzeczywistością, przez ich wolę i czyn — Polski nowej.

* * *

Tułacze — — —

W najdalszem z miast, bo każde najdalszem jest od ojczyzny, zaskoczył was niespodzianie dzień pewien, w który myśl potyka się wciąż o jakieś dawno zapomniane marzenia.

Powinienby właściwie śnieg padać — — —
Powinienby właściwie — — —

Powinnyby właściwie dzieci mieć włosy rozwiane, oczęta rozszerzone i zapatrzone w przeźroczą topiel nieba.

Gwiazdka — — — Dziecinne wspomnienia — — — Dzieci czekają gwiazdki jak szczęścia.

Takie się plączą zjawy-sny, chociaż myślicie wszyscy o czem innem.

* * *

Idźcie wszyscy do jednej izby. Jesteście dobrzy i tego dnia usypiają w was złe moce. W ten dzień bowiem dzieci waszego kraju są tak potężne, iż mogą uczynić, że wszyscy stajecie się, jak dzieci.

Zamknijcie szczelnie okna, aby ucichł gwar obcego miasta. Siądźcie około komina, na którym płonie ogień. Przypomnijcie sobie jak siadywaliście przy ogniu takim w domu rodzinnym. Patrzcie w płomień. Powoli przestaniecie odróżniać postacie wasze po za sobą.

Staniecie się wszyscy Jednem i nie będziecie mogli myśleć o tem, że najbliższy wam człowiek siedzi tam, opodal, a tuż obok was są inni, których kochacie w rzadkich jeno momentach. Będzie to jedno, i będziecie wszyscy jednako blisko siebie.

Będziecie bowiem wszyscy jednem wytężeniem słuchu, aby doznać zdaleka, zdaleka, z ponad Wisły, Gopła, Pilicy, z pod sinych Tatr, i z nad Bałtyckich wybrzeży szczęścia dzieci dnia tego.

* * *

Sypie śnieg.

W białych jego falach na pół zakopane stoją drzewa ogrodu.

Na czarnych gałęziach kładą się białe smugi.

W ogrodzie stoi dwór.

Za ogrodem staw przykuty szczelnie śniegiem z przygiętą pod jego ciężarem kępą trzcin.

Za stawem droga. Przy drodze chałupy ciężko wpadnięte w białe całuny.

Idą ogrodem dzieci.

Stąpają mocno śród śniegu nożynami drobnemi i czerwonemi od mrozu uszkami nasłuchują.

Na stawie szczęka we trzcinach mroźny wiatr.

Na śnieg spadają z gałęzi kawki i z bolesnym łkaniem zrywają się znów przed dziećmi.

Z dalekiego czarnego boru przyniósł wiatr twardy i nieubłagany stęk siekiery. Ścinają choinkę.

Ostrym bólem zapada stęk ten w dusze dzieci, co po ogrodzie idą. — Nie masz radości bez bólu.

* * *

Na drodze bawią się dzieci. Patrzą się ku ogrodowi poprzez urągliwe sztachety. Zmarznięte rączyny chowają pod sukmanę. Pójdą z kolendą.

— Ostry stęk siekiery przeszył powietrze — i ostry ból przeszył serce dzieci.

— Nie masz choinki na gwiazdkę.

Więc dalejże pod okna dworu. — Rozewrą drzwi na ścieżaj. — Uderzy fala pachnącego ciepła. Zajarzy się drzewina czarnoksięska, jako to słońce nad borem, jako to słońce — — — hej.

* * *

Zmrok. Więc zobaczycie teraz ciemniejące niebo.

Na zachodzie struga krwi tętni jeszcze.

Mrocznieją ciche pokoje dworu.

Dzieci snują się tu i tam i ściany domu tętnią gwałtownem biciem ich serc, a oczy dzieci świecą, jak małe gwiazdy.

W wielkim fotelu siedzi ojciec i wymyśla srebną i pierwszą gwiazdkową bajkę:

— Chodził, dzieci, chodził święty Mikołaj po świecie, po bożym, i nosił te choinki i te zabawki w wigilijny wieczór, gdzie jeno jakie dzieci —

Ale stary już on jest, stareńki, siwy, siweńki, ledwo nogi ze śniegu wyciąga. Więc jak mu ci przyszło po polskich wyboistych drogach, a kamienistych polach iść, tak się obróci do świętego Michała*) i powiada: Idź że ty młody na tę polską ziemię z choinką, boś sam jak kwiat, i nogi masz skorsze. Mnie już nie sporo a tobie w sam raz". Święty Michał jasnemi oczami się uśmiechnie, z konia zeskoczy, miecz ręką mocno ujmie, choinki na barki zarzuci i hajże w polską ziemię iść. A święty Mikołaj uśmiecha się i patrzy, jak to se święty Michał na polską ziemię poszedł. Idzie, święty Michał, idzie — — —

Więc lecą dzieci patrzeć świętego Michała.

Ciemnieją w oknach ich postacie. Oczy wbite niecierpliwie w niebo, boć z pierwszą gwiazdką przyjdzie — — —

Nareszcie witają światełko wytęsknione szalonem powitaniem

— Już jest —

Na niebie są już gwiazdy.

*) Święty Michał jest patronem Brukseli

O chwilo! Ty jedyna chwilo dzieciństwa. Ty nieporównany długi wieku oczekiwania. Kiedy za drzwiami zamkniętemi jest izba wszystkich czarodziejów świata — kiedy myśli wirują jak korowody gwiazd w płonącej głowie, a serce wali niby dzwon na trwogę!

Cicho roztwierają się drzwi. Na drobne główki spływa błogosławieństwo choinkowego światła. W powietrzu zapach świerkowy i dym błękitny, jak to kadzidło Myrra święta Baltazara Maga.

Popod oknami roz piewały się nocne mroki drżącą kolędą. Głosy słychać schrypłe, niecierpliwe, żądne, by conajprędzej — — —

Zawołano ich. Nie chciały dzieci wejść. Kuksają się i popychają. Wreszcie wparły się wszystkie razem w drzwi pokoju i tak stoją.

Ej, ty bolesny zgrzycie siekiery — ej ty drwalu, co ścinasz choinki. Toś przecie ponad zapłatę zarobił, że i twoje dzieci wparły się tak przecie we drzwi pańskiego salonu i stoją.

Szczęście ty, szczęście dziecinne.

* * *

W mieście, w pięknym salonie choinka dla dzieci, „Jasełka".

Nawołują dzieci do porządku, ustawiają szeregi, które się zaraz psują. Śpiewać będą dzieci zaraz. Już stoją tak, jak trzeba. W tem rozstępują się nagle, oglądają.

Idzie środkiem mały chłopak. Na piersiach skrzyżowana matki chuścina. Twarz ostra, blada. Usta zacięte i brzydkie. Włosy przy skórze obcięte.

Podnoszą się w górę oczy, w których lśnią, ważą się straszliwe opale łez.

Czekacie i czujecie, że jeśli spłyną te łzy, to padną one jakimś okrutnym ciężarem na całą ziemię.

— Nie przyjęli — pyta pani.

Mały podaje kartkę.

— „Nie przyjeni do żadny" — mówi nagle wolno i głośno chłopak.

Mówi słowa te, jak skargę, jak wyrzut, jak sąd.

A łzy wciąż ważą się, ważą się, a już tak wielkie, że oczy Ignaca zdają się dwoma wielkimi, przeźroczystymi brylantami.

Pani milczy.

A potem: — No cóż... dzisiaj... teraz Jasełka. Baw się, później pomyślimy.

Wielkie, drogie kamienie łez spłynęły. Wyjrzały z za nich srogie oczy chłopaka. Zaśpiewał razem z dziećmi:

— Bóg się rodzi, moc truchleje —

* * *

Idzie, idzie Ignac Jedlaczek śnieżną ulicą. Książki ciężkie jakieś dźwiga pod pachą. Szynelik na nim siwy, a czapka granatowa, z białym galonikiem. Nad czołem — siedliskiem myśli, krzyżyk śmiertelny nakreślony — z dwóch palm.

* * *

Tłucze się, tłucze po kamieniach bocznej ulicy drynda.

Jedzie, jedzie, jedzie — — —

Wiezie pani małą Wandzię. Mała Wandzia ma na sobie kaptureczek czerwoniutki i granatowy płaszczyk.

Jedzie Wandzia zobaczyć choinkę.

W dużej sali będzie choinka dla dzieci.

Przyjechała dobra pani do więzienia i powiedziała do Wandzinej Mamusi: Słuchajcie towarzyszko, dajcie mi waszą Wandzię, niechże też ma choinkę.

Jedzie Wandzia i niby cieszy się, a coś ją w serduszko kłuje, i tak puka:

A Mamusia to nie — a mamusia to nie. —

* * *

Płonie srebrna choinka w wielkiej sali.

A wokół dzieci, dzieci — — — jak małe duchy leśne. Ale nie wszystkie dzieci, tylko te, co domu nie mają i choinki.

Więc oczki żałosne zerkają przez okna na domy z przeciwległej ulicy. Tam w oknach płoną takie swoje choinki, nie takie na pociechę.

Patrzą Wandzine oczęta. Drobną, strasznie chudą twarzyczkę obraca dziecko tu i tam.

Już się nie cieszy, nie. Zaciśniętemi ustami zaprzecza śpiewaniej kolędzie. Wandzia wie wszystko. — — Dawno, dawno cuchnące korytarze więzienia powiedziały jej złe swoje tajemnice.

Straszna, nieufna złość ogarnia małe serce.

Nóżki stąpają ostrożnie, jak tam w więziennych sieniach, żeby nie zobaczył żandarm.

Już się nie cieszy, nie — Już nie chce choinki — Wie dobrze, że przynęta to taka, iż ją potem wezmą i za to, co tam w więzieniu z małym Wackiem — Ona wie — oho — Wandzia wie dobrze — wyśledzili — wyśledzili ją i małego Wacka, i teraz chcą zabawić choinką — a potem co oni zrobią — co zrobią —

Cicho stąpa Wandzia, jak w więzieniu tam, żeby jej nikt nie usłyszał.

Przemyka się pomiędzy dziećmi. — Już, już przy drzwiach.

Wtem chwyta ją wpół dobra pani.

Wandeczka czemu nie śpiewa?

Wandzia zaniosła się strasznym, spazmatycznym płaczem.

* * *

Z cichym sykiem gasną świeczki choinki.

W popłochu rozbiegają się dzieci.

* * *

Po drodze dalekiej w śnieżną zadymkę idzie samotny święty.

* * *

Otwórzcie oczy. Płomień dogasa na kominie. Wszystko to trwało przez jedną chwilę.

Teraz słyszycie jak ktoś idzie. Jak w wierszu Verhaerena przedarł się poprzez okiennice odgłos kroków coraz cichszy, cichszy.

Jakby się oddalał ktoś, za kim płaczą wszystkie wasze serca.

Będziecie myśleć, że to był święty Michał, co chodził w noc wigilijną po polskiem polu i zbierał wszystkie łzy cierpienia, aby z nich groty bojowe przygotować,

* * *

Zegar w izbie będzie tykał cicho: czu-waj, czu-waj.

A wy nie będziecie wiedzieć, czy to echo kroków oddalających się. Będziecie tylko słyszeć to jedno słowo.

* * *

Wstańcie wtenczas z waszych miejsc, wyjdźcie z pieśnią na ustach z izby, gdzie pozdrowiła was opłatkiem dziecinnego szczęścia i smutku Polska i pójdźcie w domy i ulice obcych miast. Tam imajcie się niestrudzonej szybkiej pracy wydarcia obcym wszystkiej przez nich w wolnym życiu zdobytej nauki.

Taras Szewczenko.

Dumy moje...

Dumy moje, dumy moje,
Jakże źle mi z wami!
Przecz stoicie na tych kartkach
Smutnymi rzędami?
Czemu wiatr was nie rozprószył
W stepie, hen po świecie,
Lub niedola nie uśpiła
Jako swoje dziecię?

Ta niedola was zrodziła w świat na pośmiewisko,
Łzy kąpały... Czemuż łez tych topielisko
W morze was nie zniosło lub nie zmyło w polu?
Niktby mnie nie pytał, czemu ckny mi świat,
Niktby nie zapytał, skąd mi wątek bolu,
Czemu los przeklinam... „Pędziwiatrów brat!“
Nie rzekliby, szydząc.
Dzieci, moje kwiecie!
Pocom ja was tulił, was, mój drobny mak?
Czy choć jedno serce załka tak we świecie,
Jak jam z wami płakał? Może też to tak...

Może znajdzie się dziewczęce
Serce, zadrgnie w męce,
Łzami olśni ciemne oczy;
Ja nie pragnę więcej.
Jedna łza — i jam na chwilę
Mocarz nad mocarze!
Dumy moje, źle mi z wami,
Więc się wami skarżę...

O tych czarnych brwiach i oczach,
W noc bezsenną, czułą,
Serce — tęskne i radosne
Opowieści snuło;
Opiewało, jak umiało,
Sielskie noce ciemne,
Strojny w zieleń sad wiśniowy,
Pieszczoty tajemne.
O mogiłach i o stepach
Hen po Ukrainie, —
Serce śniło na obczyźnie,
Milcząc w śnień godzinie.
Nie chciałem ja pośród śniegów
Kozaczą gromadę
Z buławami, z buńczukami
Zwoływać na radę.
Niechaj mi kozacze duchy
Bujają szeroko
W Ukrainie, tam, gdzie kresu
Nie zasięgnie oko;
Gdzie, — jak wolność, co minęła, —
Dniepru nurt rozlany,
Step i step bez końca, w stepie
Jak góry, kurhany.
Tam się lęgła, tam urosła
Ta kozacza WOLA,
Co to szlachtą kontuszową
Zasiewała pola;
Dżdżem tatarskiej krwi skrapiała,
Stepów żar chłodziła,
Aż spoczęła. Oto nad nią
Wyrosła mogiła.
Nad mogiłą Orzeł czarny
Zwisł, sprawując straże...
O mogile dobrym ludziom
Śpiewają kobzarze.
Ślepce — dzieje opiewają,
A ja... jam — niemowa:
Mam ja łzy o Ukrainie,
Ale nie mam słowa...
A o troskach — precz mi z troską!
Kogoż-to nie trudzi?!
Kto przez duszę na świat patrzy,
Przeze łzy na ludzi —
Piekło przejdzie na tym świecie
A w tamtym...
Troskami
Nie nakłonię sobie szczęścia,
Gdy mi nie łaskawe.
Żyjcież smutki czas niekrótki.
Skryte w serce krwawe.
W pierś je skryję, w serce wpiję
Wężową obręczą,
Byle nawet wróg nie przeczuł,
Jak one mnie męczą.
Niech myśl moja, jak kruk czarny,
Wciąż krąży i kracze,
A me serce w noc, jak słowik,
Jęknie i zapłacze
Cicho: ludzie nie wyszydzą
Pogardliwą zgrają...
Moich ran nie ocierajcie,
Niechaj krwią spływają!
Niech na cudze pola rzeką
Moja łza się toczy,
Aż na wieki mi zasypią
Cudzym piaskiem oczy...

Dumy moje, dzieci moje!
Całe życie mroczne
Was tuliłem, wychowałem
Cóż ja z wami pocznę?
W Ukrainę idźcie, dzieci,
W naszą Ukrainę,
Popod płoty, sierotami,
A ja — tutaj zginę.
Tam znajdziecie szczere serca
I słowa łaskawe,
Tam znajdziecie szczerą prawdę,
A może i sławę...

Przyjmij, matko Ukraino,
Te sieroce roje
Moich dzieci nierozumnych,
Jako dzieci swoje.

Przetworzył *Sydir Twerdochlib.*

Taras Szewczenko (1814—1861), narodowy poeta Ukrainy, syn ludu, a ojciec narodu. Od dzieciństwa był społecznie wydziedziczonym „kripakiem“. W późniejszym wieku rzecznik niepodległości ojczyzny i męczennik za ideę walki z caratem o uznanie ogólnoludzkich praw człowieka w państwie knuta i szubienicy. Więziony za to dziesięcioletnią tiurmą przymusowej służby sałdackiej po twierdzach, u schyłku życia otrzymał pozwolenie zamieszkania w Petersburgu, gdzie też zmarł, jeszcze przed uwięzieniem wykupiony z „kripactwa“ staraniem rosyjskiego poety Żukowskiego i malarza Briułowa. Pochowany w myśl swego poetyckiego „Testamentu“ wśród ojczystych stepów w okolicy Kaniowa, w mogile nad Dnieprem. Dziś, w pięćdziesiąt lat po śmierci, równie prześladowany przez czarne zastępy reakcyi rosyjskiej, jak i za życia: właśnie oto zakazano milionowym rzeszom narodu ukraińskiego w Rosyi uczcić jawnie i uroczyście pamięć tego, który wskrzesił, we wiekowej niewoli zamarłą, świadomość dążenia do samoistnego bytu Ukrainy.

W swojej poetyckiej twórczości gorący to apostoł braterstwa Słowian i oskarżyciel wszelkiej społecznej krzywdy. Wielki ten samouk z natury rzeczy i ze stosunków być musiał równocześnie agitatorem i artystą. Stąd liczne załamania i nierównowaga jego sztuki. Często nawiązywał w niej do pieśni ludowej, co jest zrozumiałe, gdy się, prócz pochodzenia, zważy jeszcze i skąpe tradycye artystyczne ówczesnej Ukrainy. Czytał także poetów romantycznych polskich. Obdarzony głębią uczucia, najwyższy ton sztuki swojej osiągnął w swoich lirykach. Ogólnie biorąc, przedstawi się Szewczenko-artysta, jako spiżowy posąg wśród stepów, któremu potężną rękę, wyciągniętą ku wschodzącemu we krwi słońcu, odbito, a na którego ustach naprzemian głośno rozbrzmiewa, to znowu rwie się memnonowski hymn wieczystemu pięknu.

S. T.

S. AUERBACH.

REWOLUCYA LIZBOŃSKA.

II.

Dynastya bragancka, po objęciu tronu przez obecnego banitę, ex-króla Manuela, kontynuowała nadal dzieło swych antenatów, dzieło spustoszające, pełne wyrafinowanej tyranii, perwersyi i antypatryotyzmu, pełne czynów moralnie i materyalnie kraj niszczących.

Skandaliczna i zdradziecka sprawa cukrownika angielskiego Hintona, sprawa, w którą wmięszane były osobistości wysoko postawione (niektórzy ministrowie i pewien kapitan przyboczny króla) i która jeśliby nie była zawczasu odkryta przez deputowanego republikańskiego, p. Alfonza Costa, i jeśliby parlament w ostainiej chwili nie zdążył zapobiec skandalicznym ewentualnościom, kosztowałaby maleńką, zbiedzoną i pognębioną Portugalię coś około 15000000 f r a n k ó w, jako indemnizacyę owemu właśnie cukrownikowi angielskiemu Hintonowi za wyrządzone mu szkody; — monstrualne bankructwo pewnego banku kredytowego ziemskiego, przez oszukańczą bandę spekulantów obróconego w pewnego rodzaju agencyę wyborczą (głównym winowajcą owego krachu i najwięcej odpowiedzialnym jest niejaki José Luciano de Castro, szef partyi nacyonalistów-progresistów i najwyższy superarbiter polityki monarchicznej); wciąż wzmagające się i z każdym dniem coraz inną postać przybierające represye i prześladowania rządu, skierowane przeciw wolności prasy a zwłaszcza dziennikarzom republikańskim i tajnym asocyacyom rewolucyjnym; bynajmniej nie budujący obraz życia dworu; peryodycznie powtarzające się wypadki popierania usiłowań kleru, zdążającego mocnym łańcuchem okolić mur separacyi ludu od życia świeckiego i intelektualnego; wreszcie stale czynione zamachy na samodzielność i swobodny rozwój ducha narodowego, oto zaledwie minimalna cząstka owych przyczyn, które sytuacyi w Portugalii nadały specyficzną ostrość i jakby elektrycznością przeładowały jej atmosferę.

Zdarzyły się wprawdzie, zwłaszcza ostatniemi czasy, wypadki które, zdawałoby się, zmienią nieco sytuacyę na mniej groźną, to jednak okazało się że najmniejszego „uśmierzającego" wpływu na masy nie miały. Wypadkami tymi były: upadek reakcyjnego gabinetu Beirao i przyjście do władzy człowieka o barwie „liberalnej", p. Teixeira de Sousa, popieranego przez również wątpliwej wartości liberała, p. José d' Alpoim, częściowa amnestya na korzyść prasy i pewne ograniczenie wszechwładzy rozpasanego kleru*). Ale na „dobrodziejstwach" tych ludność prędko się poznała. Albowiem niezależnie od pozornego uspokojenia wzburzonych i podniecnych umysłów ludu, niezależnie od efemerycznego zacisza, transformacya, rewołtowanie psychiki ludowej nie ustawało ani na chwilę a czynniki, potęgujące ów stan rewolty, regularnie, szybkiem tempem następowały po sobie.

Najważniejszym wszakże impulsem była agitacya wpływowej partyi republikańskiej, która, po upadku dyktatury frankistów, nie dała się sprowokować, lecz jeszcze intensywniejszej oddała się pracy, zbadawszy wszechstronnie sytuacyę i dokonawszy obrachunku kombinacyi sił, odrazu rzuciła i usilnie propagować zaczęła hasło — bezzwłocznego powstania.

Wskutek zręcznej i konsekwentnej agitacyi partyi republikańskiej wytworzyła się w Portugalii atmosfera, w której ludzie o bardziej subtelnem powonieniu politycznem mogli byli wyczuć specyficzny zapach: był to zapach prochu.

A tymczasem iskry, mogące ów proch zapalić, padały wciąż i wciąż. I jak zwykle w analogicznych bywa wypadkach, iskry owe padały najwięcej z komina rządowego a wywołanym groźnem potrząsywaniem reakcyjno-klerykalnych chorągwi wiatrem zostały po całym kraju rozrzucone.

Takiem właśnie rzuceniem niedopalonego papierosa w stronę składu pełnego balonów z benzyną było zwiedzenie Lizbony przez prezydenta republiki brazylijskiej, p. Hermes de Fonseca. Wizyta ta, z entuzyazmem witana przez republikanów, poważnie podnieciła rewolucyjne uczucia ludności i poważnie zaniepokoiła rząd. Ale i tutaj nieomiesz-

*) Te właśnie ostatnie rozporządzenia rządu lizbońskiego nastrajały prasę europejską, przeważnie zaś francuską burżuazyjną, na nutę optymistyczną, proklamowała bowiem z pewną dusznością, że „w Portugalii w najbliższej przyszłości żadne wypadki poważniejsze miejsca mieć nie będą".

kał on dolać oliwy do ognia. Pragnąc odciągnąć podniecone masy od wybuchów entuzyazmu i chcąc przeszkodzić zapowiedzianym manifestacyom, dokonał poprostu „porwania prezydenta“. Osiągnął jednak skutek wręcz przeciwny zamierzonemu: rozgoryczył i jeszcze bardziej przeciw sobie zrewoltował już uchodzącą wówczas za „miasto republikańskie“ Lizbonę.

Ale i na tem jeszcze nie koniec.

Nazajutrz dokonano ohydnego mordu na osobie powszechnie poważanego lekarza Chiquela Bombarda, profesora w lizbońskiej szkole medycznej, dyrektora szpitala de Rilhafales i członka komitetu rewolucyjnego. Mord ów, dokonany przez napastnika, skojarzonego z głośną rodziną konserwatywną, wprowadził ludność Portugalii w stan najwyższej zapalczywości, niemal szaleństwa.

Ale niedość i na tem.

Jakby dla spotęgowania szalonego gniewu ludności, tego samego dnia pojawił się w dzienniku Mundo przedruk interwiewu korespondenta gazety Dailly Chronicle z portugalskim ministrem spraw zagranicznych, p. José d'Azeredo, interwiewu, w którym p. Azeredo naiwnie acz zuchwale zapewnia, że „monarchia stanowczo i bezwzględnie sprzeciwi się wszelkim żądaniom ludu i, jeśli armia i marynarka nie wystarczą dla powstrzymania ataków rewolucyjnych, to ona (monarchia) znajdzie się w posiadaniu innych środków obrony“... To oświadczenie ministra wywołało istny szał gniewu we wszystkich prawie warstwach ludności. Spowodowało też ono ostatni paroksyzm wzburzenia.

W ślad za niem, admirał Candido des Reis, nieśmiertelna postać heroizmu, inteligencyi i uczciwości, daje rozkaz rozpoczęcia rewolucyi.

Przedstawiciele ludu, prawie wszyscy członkowie tajnych asocyacyi rewolucyjnych, przenikają do koszar i nawołują żołnierzy do insurekcyi.

Machado des Lontos, komisarz morski, pierwszy zabija pewnego pułkownika i pewnego kapitana, opierających się rewolucyi. Inni oficerowie zostają uwięzieni. Żołnierze wychodzą z koszar. Na ulicy łączą się z tłumem i kroczą pośrodku uzbrojonego ludu. Kadry rewolucyonistów zostają wkrótce znakomicie wzmocnione przez przyłączenie 16-go pułku artyleryi i dwóch krążowników wojennych: Adamaster i S. Raphael. Wnet rozlega się po całem mieście gromkie: Niech żyje republika!

Bitwa rozpoczyna się od walki z wojskiem rojalistycznem. Ci ostatni przedstawiają sobą poważną siłę liczbową, ale siła podnieconego i zapałem rewolucyjnym przejętego ludu jest niemniejsza. Ze wszystkich stron nadciągają uzbrojeni obywatele i powiększają szeregi walczącego ludu. Kobiety i młodzież kroczą w jednym rzędzie z żołnierzami i walczą pod komendą oficerów. Lekarze, studenci, urzędnicy handlowi, robotnicy rzucają bomby i strzelają z mitraliez wojennych. Gdy pierwsze szeregi ludu padają, prażone morderczym ogniem wojska monarchicznego, wnet inne, liczniejsze i niepokonane je zastępują. Gwardya cesarska walczy z niemniejszym zapałem. Wszakże krzyżowy ogień zrewoltowanego 1-go pułku artyleryi i pociski krążowników wojennych zmuszają ją do kapitulacyi.

Zaczęło się bombardowanie pałacu królewskiego. Nieliczne siły, które go broniły, szybko topniały. Król Manuel skrył się w porcie Mafra. Przez kilka godzin oczekiwał rezultatów bitwy, licząc na ewentualność zwycięstwa swej wiernej gwardyi. Przekonawszy się jednak o ostatecznej porażce swych wojsk, ulokował się wraz z rodziną na okręcie Amelia i nie zwlekając ani chwili, rozkazał odbić od brzegu i opuścić — może na zawsze — wybrzeża portugalskie...

Ucieczka królewska dokonaną została w panicznym strachu i w warunkach kompromitujących: brakło jej wszelkiego bohaterstwa, wszelkiego dostojeństwa.

Tragizm dynastyi braganckiej najfatalniej odbił się na zdrowiu królowej Maryi-Pia, córki króla Wiktora Emanuela. Nieszczęśliwa ta kobieta doświadczyła w swojem życiu tyle nieszczęść, tyle tragicznych zajść: zamordowanie jej syna Humberta, króla Italii, egzekucya drugiego jej syna, Karlosa I., tragiczna śmierć wnuka, księcia Ludwika Filipa i naostatek haniebny upadek korony i tronu portugalskiego, wszystko to tak podziałało na nieszczęśliwą kobietę, że postradała zmysły. Ona jedna nie mogła pogodzić się z hańbą i ruiną dynastyi braganckiej, ratującej się przed rewolucyą spieszną ucieczką, i nie mogła również pokryć tchórzliwości uciekinierów królewskich ową heleńską wielkością swej osoby, niegdyś tak majestatycznej i uderzającej nawet przeciwników.

Dynastya bragancka runęła w gruzy bez najmniejszego ze swej strony gestu dostojeństwa. Król Manuel, upokorzony, drżący, modlił się przed obrazem Matki Boskiej, protektorki królestwa, prosząc ją o pomoc i ratunek. Królowa Amalia, pełna oburzenia i świętego gniewu, rzuciła rozpaczne i bezmyślne: „Do widzenia!“ I tracąc równowagę w chwili oddalenia się okrętu od brzegów Portugalii, oszołomiona hukiem dział, bombardujących pałac królewski, pada na pokład w ataku spazmatycznym i traci przytomność. Jedynie książę Alfons wzbudza ku sobie pewną sympatyę, rzucając następujące słowa: „Jestem Portugalczykiem i pragnę umrzeć na ojczystej ziemi portugalskiej!“...

W chwili, gdy ten dramat odgrywał się na pokładzie okrętu Amalia, pałac królewski w Lizbonie, ratusz i inne gmachy rządowe zostały przez zrewoltowaną ludność zdobyte a Portugalia ogłoszdną za —

Republikę.

* * *

Po uroczystem proklamowaniu republiki, ze wszystkich krańców Portugalii nadeszły do stolicy powitania i felicytacye. Wszędzie, po całym kraju śpiewano Portugalkę i entuzyastycznie witano nową formę rządu. Wybrane władze prowizoryczne składające się z ludzi o głębokiej myśli, wielkim charakterze i silnej woli — rozpoczęły pracę.

Dyktatura rewolucyjna trwać będzie prawdopodobnie aż do czasu zwołania i ogłoszenia konstytuanty tj: około trzech miesięcy.

Pierwsze pociski nowego rządu padły w stronę kleru: jezuitów, nuncyuszów i mnichów. Wszystkim polecono opuścić terytoryum republikańskie. Dziennik Oficyalny ogłosił nazajutrz dekret, przywracający pogrzebane prawo Braamcampa i Pombala, według którego kongregacye religijne uważane są za instytucye nielegalne, niemoralne i niebezpieczne. — Tenże Dziennik ogłosił, że dom bragancki wypłaci ze swego majątku nadwyżki, otrzymywane po za prawem wyznaczoną mu pensyę. Oszukańcza banda, która w celach oszustwa operowała zawładniętym bankiem kredytu ziemskiego, zostanie pociągniętą do odpowiedzialności sądowej i ukaraną. Drakońskie przeciw anarchistom i wolności prasy prawa zostały odwołane. Znany anarchista portugalski Raymundo dos Lantos, deportowany na wyspę Tymor, został telegraficznie kablem podmorskim zwolniony i znajduje się już w drodze do wymarzonej przez siebie republikańskiej Portugalii. Sędzia nadzwyczajny, wyznaczony do sądzenia „specyalnie ważnych przestępstw“, coś w rodzaju inkwizytora o nieograniczonej władzy, został natychmiast odwołany a instytucya, którą reprezentował, zniesiona.

Na czele rządu obecnego (prowizorycznego) stanęła jedna z najznakomitszych i najszlachetniejpostaci Portugalii: wpływowy działacz społeczno-

polityczny i wybitny pisarz doktór Teofil Braga. On też podpisał komunikat, zawiadamiający mocarstwa zagraniczne o dokonanym w Portugalii przewrocie i o objęciu rządu przez gabinet republikański. Jednocześnie z tem odwołano rozmieszczonych po różnych miastach kontynentu ambasadorów portugalskich i zastąpiono ich politykami, godnymi zaufania nowopowstałej rzeczypospolitej.

Według deklaracyi ogłoszonej przez ministeryum sprawiedliwości „polityka nowego rządu zostanie zrealizowaną możliwie najściślej w duchu szczerych tendencyi postępowych programu portugalskiej partyi republikańskiej: narodowa obrona morska — zabezpieczenie całości terytoryalnej państwa — decentralizacya administracyi kolonialnej — autonomia władzy sądowej — bezwzględna gwarancya wprowadzenia wszystkich niezbędnych wolności, powszechne, obowiązkowe i bezpłatne nauczanie początkowe, zaprowadzenie cywilnych ślubów. aktów urodzin i zejść — separacya państwa hd kościoła“.

Wytrawny znawca stosunków portugalskich i osobiście Portugalczyk, cytowany już powyżej Angelo Vaz, zapewnia opinię europejską, że wszystko, co rząd Rzeczypospolitej obiecuje, zostanie święcie spełnione, albowiem rząd ów wyszedł z rewolucyi, pełnej wielkości i heroizmu, pełnej dostojeństwa i wspaniałomyślności, cieszy się poparciem całego narodu i jest wyrazem jego woli.

Paryż, w lutym.

LIST ZESŁAŃCA.

Z powiatu Kiryńskiego, gubernii irkuckiej, w styczniu r. 1911.

List Szanownej Pani, posyłka i gazety doszły mię. Posyłka leżała na poczcie 2 miesiące.

Dostarczanie pism i posyłek wogóle nie jest regularne, gdyż zależy od stanu wody na dużej rzece górskiej Kiryndze. Poczta M. leży na Lenie. Stąd więc płyną rzeką do wsi R. a stamtąd konno przez grzbiet górski. Wiosną i jesienią najgorzej, gdyż rzeka płynąca nadzwyczaj bystro jest nawet dla tutejszych wytrawnych rybaków i myśliwych niebezpieczną.

Posyłkę otrzymałem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia n. st. i byliśmy prawdziwie szczęśliwi otrzymawszy książki polskie. Dzień i noc zbiegły nam na czytaniu i chociaż wszystko było nam znane, zdało się świeże i nowe.

Na zesłaniu jestem już pół roku. Z początku po wyjściu i przejściu całego piekła dantejskiego więzień różnych w Warszawie, Moskwie, Samarze, Irkucku, Aleksandrowsku, po opuszczeniu murów — każdy wychodzący na tę względną wolność czuje się szczęśliwym. Ma przecie wolne ręce i nogi, nie słyszy i nie widzi brutalnych tworzy dozorców, pozbył się męczącego śledztwa, jest wśród przyrody lasów, gór i pól, czuje się szczęśliwym.

Nie przesadzam, gdy powiem, że czuję się odrodzonym. Po wyjściu z tego celibatu duszy i oko umie się odnaleść niewysłowione piękno w leżącym małym kamyku, uschłem drzewie, podeptanym kwiecie. Ma się zdolność jakiegoś widzenia wewnętrznego, utajonego wszędzie: życia i śmierci. A wszystko jakieś niewymownie piękne, bliskie, bo na chwilę tylko utracone a teraz odzyskane.

Przyroda tutaj cudna! Nasze pola i lasy są jakoby dziecko śmiejące się wiecznie, piękne obojętnością dziecinną na walkę ludzką i ich niewolę. Tu zaś, wszystko groźne, ponure, niebosiężne, zamknięte w sobie, zadumane.

Może nad tą ludzką Golgotą... Nie wiem.

— Po przyjściu do naznaczonej mi wioski, mając za całe bogactwo szary chałat więzienny, wziąłem się do pracy u jednego z tubylców t. zw. czołdanów. Kosiłem siano na wysepkach rzeki. Praca w tutejszych warunkach jest uciążliwą; szczególnie dokuczają całe roje komarów i muszek, które kąsają nawet przez gęstą siatkę.

Mieszkaniec tutejszy w eksploatowaniu sił robotnika nie ustępuje wcale naszym europejskim eksploatatorom. Po miesiącu, przyjechał do tej wioski Polak, Królewiak; z nim razem wzięliśmy się razem karczować las. Praca nadzwyczaj ciężka, szczególnie po wyjściu z więzienia, gdzie wyczerpały się siły. Za dziesięcinę płacą 100 rubli. Po dwóch miesiącach zarobiliśmy 58 rubli. Z tych pieniędzy naturalnie żyliśmy. Dalej pracować nie można było, gdyż ziemia zamarzła, a towarzysz mój podźwignął się. Przez kilka tygodni leżał chory nie mogąc zrobić kroku o własnych siłach. Doktora, a chociażby felczera niema, trzebaby jechać 250 wiorst.

Użyliśmy więc całej swej znajomości sztuki lekarskiej robiąc opaski zimne, nacierania terpentyną (jedyny środek lekarski, który tu kupiłem); w dnie ciepłe zastosowaliśmy kąpiele słoneczne. Wszystko to, czy też jak mówi mój towarzysz, chęć umierania w kraju, „bo tutaj głupio i zimmo“ powróciło mu zdrowie.

Prawdziwem nieszczęściem jest brak doktora. Niedawno jeden z zesłańców politycznych nauczyciel mieszkający o 50 wiorst od nas, rąbiąc drzewo, przeciął prawie zupełnie stopę. Widziałem, gdy go wieźli do szpitala. Nie mogłem go poznać i nie wiem dotychczas, czy dojechał żywy.

Tutaj raz w rok zimą, gdy rzeka stoi, przyjeżdża felczer i on ma zapobiec wszystkim chorobom. Dziecko jednego z tubylców, grzejąc się przy ogniu w jurcie, potrącone przez drugie, upadło w ogień i chociaż natychmiast wyrwane, całe było oparzone, wśród strasznych męczarni konało, a tubylcy czekali cudu od czarownika. Często giną n. p. konie. Tubylcy są przekonani, że przyczyną tego są nieżyczliwi im ludzie. Idą więc do czarownika, który im wskazuje, patrząc w lusterko, najniewinniejszego w świecie rzekomego winowajcę.

Biada takiemu! Poddadzą go takiej operacyi, że jeżeli mógł chodzić, to szczęśliwy.

W gminie rozciągającej się na 300 wiorst, jest kilkudziesięciu zesłańców. W wiosce naszej jest nas pięciu, z tych trzech Rosyan. Stosunki między zesłańcami są nie bardzo przyjemne. Są tacy, co chodzą na „wieczorynki“, tam piją, tańczą, a podnieceni rozpoczynają bójkę nożami! Czyż uwierzy Pani, iż jeden z zesłańców politycznych po takiej zabawie, bez czucia położył się na piecu spać i spalił nogę do kości. Zabrali go do szpitala.

Takich jest bardzo wielu. Na Syberyę niewiadomo za co zesłani. Dali się unieść fali 1905 roku.

Żadne wpływy, bojkot nic nie pomaga. Są to t. zw. „indywidualiści“. Jeden z takich, zeszłego roku na Lenie, w Petropawłowsku, zabił nauczycielkę, wziąwszy 50 kop. majątku.

Stosunki Rosyan do Polaków ograniczają się na podawaniu ręki. O jakimś towarzyskim węźle niema mowy. Ludzie — zdałoby się — jednych przekonań, ideałów, mając coś wspólnego, powinni tembardziej w tych warunkach, żyć bratersko; tymczasem jedni od drugich stronią. Polacy według nich, są wszyscy bez wyjątku „szowinistami“ i „patryotami“.

Mickiewicza i Słowackiego twórczość sprowadzała się cała do nienawiści narodowej.

Są to czystej krwi „szowiniści“. Dostają uerwowej choroby, że są w Polsce socyaliści chcący niepodległości Polski... Dawni legioniści polscy: Dąbrowski, Sułkowski, to chorzy ludzie, robak wielkości ich toczył.

A przecież to mówią do nas ludzie ze średniem lub, niestety, uniwersyteckiem wykształceniem!

Stąd można powiedzieć słowa Wyspiańskiego, że to dwa obozy, z których „każdy sobie rzepkę skrobie“.

Polacy mieszkający na Lenie, w O. piszą mi taką rzecz: jeden z Rosjan chciał dać pracę świeżo przybyłemu Polakowi; czołdon zgadzał się, ale jeden z towarzyszy Rosyanin (człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem) począł mówić wieśniakowi: „czyż nie możecie wziąć do roboty prawosławnego, przecie to swój, wam będzie przyjemniej“! Sądzę, że chyba sam Puryszkiewicz nie mógłby dobitniej się wyrazić!

Bardzo mało spotyka się ludzi i towarzyszy w całem tego słowa znaczeniu. Smutny ten objaw można usprawiedliwić tylko tem: ludzie oderwani przemocą ze swego środowiska, oderwani od rozwijającej się myśli, wciśnieni w ciasne koło, są chorzy chwilowo i chore są ich myśli!

Zmiana warunków zmienić ich może!

Tubylcy dzielą zesłańców na „posileńców“ t. j. kryminalnych i na „politycznych. Dla politycznych, którzy są rzeczywiście nimi, są przychylni. Do Polaków odnoszą się bardzo dobrze. Jeszcze starzy powstańcy polscy zostawili po sobie u nich miłe wspomnienia. Z dumą mówiono mi, że nauczył ich czytać i pisać „Polak powstaniec“. Niema tu wioski, gdzieby mi nie opowiadano o powstańcu Piotrze Swierzyńskim. Polacy też wnieśli tu pierwszy promyk oświaty.

W wiosce, gdzie żyję, pokazał mi jeden z tubylców szmat ziemi, na grzbiecie górskim, wykarczowanej przez Polaka powstańca.

„Patrz, — mówił — tu kopał Polak, o! twardy był, a dobry jak dziecko“. „Ale powiedz mi — zwrócił się do mnie — dlaczego wy wszyscy jesteście tacy smutni, zadumani, nie śmiejecie się! O trzeba się śmiać, śmiech przysparza zdrowia“.

Patrząc na ten szmat ziemi, teraz już porzuconej, myślałem o tym człowieku, który ścinając sybirski las, w ciężkiej pracy koił serdeczny ból. Ból jednak zwyciężył go, rzucił się w nurty rzeki i utonął. Wzdłuż Leny prowadzi trakt do Irkucka. Drogę tę nazywają „polską drogą“. Robili ją polscy powstańcy. Wszędzie widać niezatarte ślady Polaków. Ile jest miejsc takich, których czas nigdy nie zatrze? Ilu jeszcze zobaczy słupy graniczne Europy i Azyi!?

Przeważna liczba zesłańców żyje z pracy. Zimą dla wszystkich gorzej, gdyż brak stałego zajęcia. Teraz albo się młóci, albo drwa rąbie. Drożyzna tutaj straszna. Pozwolę sobie przytoczyć ceny niektórych produktów:

Funt cukru 28 kop., funt nafty 22, butelka mleka 10, funt mięsa 10 kop., pud mąki żytniej 2 ruble.

Co gorsza, iż trudno tu teraz dostać mąki. Straszne upały zniszczyły zboża i tubylcom samym nie starczy. Niedawno wziąwszy narty, jeździliśmy za mąką 10 wiorst.

Ziemi uprawnej bardzo mało. Utrzymują się z tak zwanego „przemysłu“ t. j. polowania na wiewiórki, łosie, kozice, sarny i niedźwiedzie. Jesienią po święcie „Pokrowie“ gdy wiewiórka syberyjska staje się z ryżej czarną, (skórka kosztuje 50 kop.) idą mężczyźni na kilka tygodni w tajgę, po wsiach zostają tylko kobiety i dzieci.

Ponieważ zesłańcom nie zabraniają trzymać broni więc i myśmy kupili strzelbę. W lecie zabijaliśmy kaczki i jarząbki. Mieliśmy więc mięso, a oprócz tego znakomite lekarstwo na tęsknotę. Często siedzimy we dwóch w swojej pustelni (tak nazwaliśmy swoją chatkę, stojącą zdala od wioski) i przez dzień zamienimy parę wyrazów. Przychodzą takie chwile, że coś człowieka formalnie dusi, wtedy bierze się broń na ramię i w tajgę. Zabije się co, dobrze! nie zabije się, to przynajmniej wśród lasu, wśród wiekowych cedrów i sosen, zapomina się o swem położeniu. Jesienią więc w 3 tygohnie po wyjściu tubylców w las, chcąc nasz szczuplutki już budżet powiększyć, wybrałem się w tajgę na wiewiórkę. Ze mną szedł jeden z zesłańców i jeden tunguz. Zaopatrzeni w chleb, groch, śrut i kule wyszliśmy nie zważając, że śnieg już prawie do kolan sięga. Cały ciężar złożyliśmy na narty i wązkiemi ścieżynami leśnemi, idąc gęsiego, ciągniemy jak konie. Koło południa zrywa się straszna zamieć t. zw. „purya“, robi się ciemno, a pozostaje nam jeszcze 10 wiorst do jurty górskiej, gdzie mieliśmy nocować. Zmęczeni ledwie poruszamy się naprzód. Burza powoli ucicha, chwyta tak silny mróz, że nasza odzież przemokła od potu robi się jakby ze skóry twardą! Późną już nocą dotarliśmy do jurty. Przy rozłożonem dużem ognisku drżeliśmy z zimna. Myślałem, że zapalenie płuc nas nie minie, ale rankiem mimo mrozu posuwamy się dalej, do następnej jurty. Mróz okropny, przez tuman ściętego powietrza widać blade słońce. W tej drugiej jurcie siedzieliśmy cały tydzień czekając cieplejszych dni; zapasy się wyczerpywały, a o zapolowaniu niema mowy; psy nie chcą iść w las drżąc z zimna. Postanowiliśmy wrócić! Późną nocą wróciłem do domu, a towarzysz mój, widząc mię, wyciąga rękę i mówi: „dobrze żeście przyszli, tęskno samemu“. Zawsze to samo!...

Doprawdy nie mam słów podzięki za przysłane nam ubranie, bieliznę, książki i gazety. U nas coraz gorsza reakcya — śmierć Konopnickiej, zwycięska rewolucya w Portugalii, strajk kolejowy we Francyi, rozwiązanie sejmu finlandzkiego! Tyle nowych rzeczy, mieliśmy o czem mówić...

. . . .

Tyle słów listu zesłańca.

— — — — — — — — — — — — — — —

Powstała we Lwowie myśl stworzenia „**Polskiego towarzystwa dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym**“. W najbliższym czasie utworzy się Komitet organizacyjny i poczynione będą kroki celem legalizacyi statutów.

Dr. ALEKSANDER LISIEWICZ.

BUDŻET MIASTA LWOWA.

I.

W radzie miasta Lwowa rozpoczęły się obrady nad budżetem na rok 1911.

W życiu samorządnem naszego kraju po krótkotrwałych zazwyczaj obradach sejmowych rozprawy w radach miast Lwowa i Krakowa, o ile one nie dotyczą li tylko załatwiania drobnych spraw administracyjnych, ale odnoszą się do kwestyi zasadniczego znaczenia, a zwłaszcza gdy rozchodzi się o całokształt gospodarki miejskiej, powinny budzić szerokie zainteresowanie.

Statuty tych miast dają radom miejskim wcale szeroki samorząd, prawo nakładania własnych opłat i podatków, prawo wcale swobodnej gospodarki na własnym terenie przy pomocy urzędników mianowanych samoistnie, a pod kontrolą całej rady, wybranej w każdym razie bez nacisku obcej władzy przez kilkanaście tysięcy wyborców reprezentujących ogół mieszkańców.

Radni miejscy, wykonując należycie swoje prawo kontroli nad gospodarką miejską budzą do niej zaufanie obywateli, a krytykując poważnie i rzeczowo zasłużone niedomagania, podnoszą znaczenie i powagę samorządu.

Jeżeli po za tą krytyką ściślejszą, że tak powiem fachową, znajdzie się jeszcze po za radą w prasie oświetlenie rzeczy bądź to ogólniejsze na całokształt gospodarki miejskiej, bądź też szczegółowe w pewnych doniosłych sprawach z punktu widzenia jakiegoś specyalisty, który zna się na pewnych działach gospodarki, to waga tych rzeczy dla naszego życia publicznego jest wprost nieocenioną.

Gospodarka wielkiego ciała samorządnego nie jest żadną zabawką i nie można dzisiaj zbyć jej lada frazesem. To jest praca ciężka, żmudna, poważna — nie jeden powie: nieraz może nudna. Praca ta jest jednak nad wyraz wdzięczną, jeżeli jej przyświeca myśl rozwoju własnego miasta, podniesienia jego podstaw bytu i sił żywotnych na przyszłość, a zarazem usunięcia braków i niedomagań i przysporzenia dorobków gospodarczych i kulturalnych.

Ogół mieszkańców i prasa, współdziałając krytycznie i twórczo w chwili tych najważniejszych dla życia miejskiego rozpraw, pomaga niesłychanie rozwojowi idei samorządu, pomaga także niepomiernie odrodzeniu narodowemu! Wszak wielką naszą wadą narodową było zawsze lekceważenie własnego rządu i zabijanie dobrych rzeczy krzykactwem bezmyślnem lub złośliwem dla efektu chwili. Niemniej wielką wadą było i jest niestety do tej chwili lenistwo myśi i w chwili konieczności pracy trwałej, codziennej, pobłażanie bezgraniczne dla tych, którzy podjąwszy się pewnych obowiązków, wcale ich niespełniają albo je lekceważą, ustępowanie wobec pewnych t. z. powag, brak odwagi cywilnej.

Na radzie miasta Lwowa od kilku lat, od chwili zwłaszcza, kiedy stworzono w niej zastępstwo interesów nie miasta ale pewnych osób i grup politycznych, zapanowało jeszcze jedno niestety: obawa przed terrorem pewnych odłamów prasy. Naturalnie rzecz to przykra, ale zdaje mi się, że poważny i jednomyślny odruch przeciw temu ostracyzmowi jest najwalniejszym obowiązkiem tych, którzy na seryo myślą o pełnieniu swego urzędu publicznego.

Z ubolewaniem stwierdzić należy, że prasa nie docenia zupełnie istotnego samorządu stolicy, jej gospodarki i jej rozpraw budżetowych. Po za zdawkowymi ogólnikowymi frazesami, po za chwilowymi zachwytami nad rozwojem n. p. zakładów elektrycznych i t. p., po za partyjną napaścią na jednostki lub nieraz bezmyślną, frazeologiczną obroną pewnych dygnitarzy — całymi latami nie spotyka się w prasie naszej krytycznej, poważnej oceny gospodarki miasta, jej budżetu, jej zadań lub niedomagań.

Przed laty *Słowo polskie* kilkakrotnie umieściło wcale interesujące uwagi ogólne o budżecie miasta, uwagi pochodące niewątpliwie z pod pióra pojmującego poważnie swe zadania. W tym roku szereg artykułów o sprawach miejskich napisanych ze znajomością rzeczy przez kilku radnych z obozu polskiej demokracyi wydrukowała *Gazeta wieczorna.*

Po za tem pustki w prasie straszliwie. Góruje ponad wszystkiem zjadliwa walka wyborcza, wśród której prym wiedzie nagonka na zasłużone dla miasta osoby, za to, że nie chciały głowy pod jeden włożyć strychulec.

Górują także rozprawy na temat banalnych gadanin delegacyjnych i procesu ruskich studentów, po za tem wielka polityka nie tylko Austryi ale Francya, Anglia, Niemcy, Chiny, Meksyk itp. stale olbrzymiemi szpaltami zalewają nam oczy, i umysł, a najmniej widać uwag poważnych, sumiennych, krytycznych o tem, co jest najbliższe i powinno być stale i miłem i drogiem i potrzebnem i o własnem mieście.

W roku obecnym brak ten daje się odczuwać jeszcze wyraźniej.

Skończyła się kadencya trzechletnia rady miejskiej i wybierano nowych reprezentantów. Przed wyborami budżet miasta był gotów. Wyboru jednak dokonywano pod hasłami rzekomo narodowymi a właściwie partyjnymi, i dla tego sternicy miasta najstaranniej omijali wszystko, coby dało możność krytycznej oceny gospodarki zarządu miasta.

Budżet miasta p r z y s z e d ł p o w y b o r a c h.

Czy prasa powinna być na to obojętną?

Czy oświetlenie krytyczne budżetu miasta i gospodarki samorządnej stolicy kraju jest zbędnem, skoro, jak twierdzą interesowani, blok narodowy zwyciężył?

Osoby są i mijają — rzecz sama zostaje.

A rzecz to niepoślednia.

Miasto Lwów ma samorząd zabezpieczony ustawą już od lat 40 (statut nadano ustawą kraj. z 14. października 1870). Miasto Lwów liczy wedle spisu ludności z ostatnich dni, przeszło 206 tysięcy ludności, jest tedy w dobie obecnej największem miastem polskiego samorządu.

Jakże się przedstawiają chociażby najogólniejsze cyfry gospodarstwa miejskiego?

Budżet funduszu gminy przedstawia kwotę w rozchodach zwyczajnych:

. . . .	K.	8,170.370
w przychodach zwycz. .	„	8,181.506
a spodziewaną jest nadwyżka	K.	11.136

W budżecie nadzwyczajnym przewidziano tylko 80.000 K., w inwestycyach nie preliminowano na rok 1911 nic zgoła.

Gospodarka miejska tylko na oko zamyka się w łamach owych 8 milionowych przychodów i rozchodów. Konstrukcya bowiem budżetu miejskiego jest tego rodzaju, że wszystkie zakłady i przedsiębiorstwa miejskie, które dopiero od niewielu lat są w ręku gminy, mają swoje osobne szczegółowe budżety, a przez budżet ogólny miejski przechodzą tylko cyfry czystych nadwyżek przychodu (jeżeli są) i kwoty potrzebne na oprocentowanie i umorzenie kapitału zakładowego.

Jaką to rolę odgrywa, wystarczy przytoczyć, że ogólny dochód miejskiej kolei elektrycznej na

rok 1911 ma przynieść . .	K.	2,768.900
utrzymanie ma kosztować . .	„	2,257.480
a tylko zwyżka obliczona na .	K.	511 420

przechodzi przez ogólny budżet miasta.

Jeżeli dodam, że zakład oświetlenia elektrycznego ma przynieść 1,377.000 K., gazownia 1,665.206, wodociągi miejskie 1,254,086, rzeźnia miejska 401.495, opał miejski 428.000, dobra miejskie sumę 142.000 Kor., że ponadto gmina wprowadziła wyrąb mięsa prowincyonalnego, sprzedaż mleka, własny zakład pogrzebowy itp. to chociaż różne z tych urządzeń nie obliczonych zupełnie na zysk, po za amortyzacyą kapitału zbytnio nie wpływają na budżet miejski, okazuje się jednak, że rzeczywisty budżet miasta i jego urządzeń przekracza już kwotę 15 milionów koron rocznie w przychodach i tyleż w rozchodach.

Dodajmy do tego wszystkiego fundacye jak np. starców im św. Łazarza z własnymi dobrami i gotówką, Gosiewskiego z dobrami, Bilińskich z kamienicami i około pół milionowym majątkiem w papierach wartościowych, Ducheńskiego z łaźnią, kamienicami i ćwierć-milionowym kapitałem itd. itd., dodajmy wreszcie legaty i milionowe depozyty osobno administrowane przez miasto — a będziemy mieli odrobinę świadomości, że budżet miasta Lwowa i jego gospodarka dla ogółu nie tylko bezpośrednio interesowanych, ale dla ogółu myślących o dobru narodu Polaków, nie jest wcale obojętnym i że gospodarka tej samorządnej stolicy jednej części Polski, jest sprawą niepospolitej doniosłości, nad którą szeroki ogół stale i poważnie czuwać, i którą należycie, krytycznie, chociażby nawet ze zrozumiałą dla swoich najbliższych miłością, oceniać powinien.

Z PRASY POLSKIEJ.

SPRAWA RAPPERSWILSKA.

Ceniony historyk emigracyi, p. Stanisław Szpotański, pisze w marcowym zeszycie „Krytyki“ o sprawie rapperswilskiej:

„Kiedy czytam artykuł mój pod tymże tytułem w lutowym numerze „Krytyki“ umieszczony i mam przed oczami materyał, jaki od tego czasu zebrałem, to myślę, że pisałem w sposób karygodnie uprzejmy, karygodnie względny. Pisałem: „jeśli zarzuty się potwierdzą, niech Rada Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu o to, co ma dalej robić, zapyta się swego wstydu i sumienia“ — dziś mówię do tejże Rady: „nie macie ani wstydu, ani sumienia!“

„Pisałem, że o brak zacności w intencyach podejrzywać Rady nie sposób, że te wszystkie potworności, które w Muzeum się dzieją, ze słabych, a ciemnych głów tylko początek swój biorą — dziś mówię, że spłodził je nierozum i zła wola.

„Po zabraniu raz głosu w sprawie Rapperswilskiej postanowiłem rzecz dalej prowadzić, pogłoski sprawdzić, opinię fachową o Muzeum w Rapperswilu poznać. Zwróciłem się więc do Pułkownika Miłkowskiego, kontrolora instytucyi, do byłych bibliotekarzy, pp. Żeromskiego i Karczewskiego, do dyrektora Muzeum Narodowego, p. Kopery. Otrzymałem ponadto fotografie Rapperswilu, fotografie wyrobów kustosza, dokumenty jego wandalizmu i memoryał Dra Dobrzyckiego w odpisie. Nim materyał ten drukiem opublikuję, opowiem tutaj, co przynosi.

„P. Miłkowski pisze: „Materyał bogaty o porządkach w Muzeum w Rapperswilu znajdziecie w felietonach „Gońca“ warszawskiego, które pilnie czytałem i którebym obydwiema rękami podpisał“. Ja właśnie na tych felietonach (Z tajemnic Rapperswilu) artykuł mój oparłem.

„P. Kopera w piśmie obszernem wywodzi, że Muzeum Rapperswilskie niesłusznie nas wobec Europy kompromituje, że falsyfikatami jest zaśmiecone. „Blaga, kłamstwo i głupota tam panują. Człowiek każdy, który ma odrobinę kultury artystycznej, z niesmakiem chodzi po salach zamku“. „Wogóle nietylko tej instytucyi nieuctwo, brak pietyzmu, brak najprymitywniejszej artystycznej kultury, ale wprost wandalizm, powinien zmusić zarząd Muzeum, aby natychmiast instytucyę tę zamknąć kazał i dopiero odpowiednio przez fachowe siły urządzoną pod kontrolą rzeczoznawców otworzył. Dziwić się trzeba, jak nasze społeczeństwo, któremu tak chodzi o opinię zagranicy, mogło pozwolić na taką kompromitacyę naszej nauki i kultury! Dowiaduję się, że obecnie jest zamiar reklamowania tej instytucyi celem ściągania turystów!“

„Żeromski opowiada, jak kustosz, p. Rużycki, lakierem czy innem smarowidłem zalał pełną sztychów księgę Antoniego Oleszczyńskiego, własność osobistą tego artysty, na przechowanie do Rapperswilu złożoną; jak p. Rużycki strzelał z pistoletu do małych elzewirów w białą skórę oprawnych, jak na sztychach, choćby najrzadszych, pisał swoje uwagi, jak prześliczną akwarelę, M. Gierym-

skiego użył za tekturę do odwrotnej strony jakiejś pospolitej litografii. Później opowiada Żeromski długo o owych zbiorach Chodźki.

„Kustosz ich nie spalił! Nie! Ale kazał je łopatami powyrzucać ze strychu na dziedziniec właśnie wówczas, gdy ś. p. H. Bukowski, na przedstawienie ówczesnego bibliotekarza o ważności zbiorów, z własnej kieszeni wyznaczył specyalny fundusz, aby je uporządkować.

„Dwaj robotnicy szwajcarscy wyrzucali łopatami na świat owe wycinki L. Chodźki, do muzeum przywiezione po to, aby jako źródło nieocenione służyć mogły do badań. Ciż dwaj robotnicy później łopatami wrzucali masę zniweczoną owych wycinków, stanowiących już istną mierzwę do drwalni z dziurawym dachem, znajdującej się obok gmachu muzealnego od strony wejścia głównego. Nie mogąc na to patrzeć i znieść tego widoku, zapakowałem klucze od szaf, szuflad i skrzyń, które były pod moim zarządem, w pudełko i odesłałem je p. Henrykowi Bukowskiemu, do dyrektora muzeum i prezesa rady muzealnej napisałem kategoryczny list z protestem przeciwko temu, co się stało, oświadczyłem, że wskutek tego, co się w muzeum dzieje, nie chcąc solidaryzować się z podobnem barbarzyństwem, natychmiast wyjeżdżam".

„Ten biały papier, na którym piszę, czerwienieje ze zgrozy, ale oblicze p. Gałęzowskiego i jego paryskich przyjaciół nigdy nie traciło wyrazu spokoju. Przecież to już po memoryale Dra Dobrzyckiego, już po liście Żeromskiego, kustosz jest dla nich idealnym urzędnikiem. Czy możemy mówić tylko o nierozumie, o nieumiejętności? Chłopak wiejski wie o tem, że do przedmiotów muzealnych z pistoletu się nie strzela; ulicznik, schwytany na takim uczynku brakiem wiedzy fachowej by się nie wytłómaczył. P. Gałęzowski, który mieszka w Paryżu, wie, że od czasu do czasu jakiś złoczyńca, albo szaleniec, nożem lub laską szkodę w jakiemś muzeum uczyni. Rząd francuski wsadza go do więzienia albo do domu obłąkanych. P. Gałęzowski powinien pilnie czytać takie wiadomości w gazetach francuskich, i indywidua takie wciągać na listę kandydatów na urzędników w Muzeum polskiem w Rapperswillu. Byliby to w obliczu jego idealni urzędnicy. My jednak nie chcemy takich urzędników! Chcemy urzędników „głupich", „na niczem się nie znających", pragniemy zaś, aby „doskonali" urzędnicy Rady Rapperswilskiej, wraz z ową Radą na zasłużonych spoczęli laurach".

KLERYKALIZM PRZECIW SZKOŁOM POLSKIM.

Warszawski miesięcznik „Kultura Polska" pisze w zeszycie marcowym o walce, którą wypowiedział klerykalizm polskiemu szkolnictwu prywatnemu: „Ostatni wieczór dyskusyjny w Towarzystwie Kultury Polskiej odsłonił całą niszczycielską potęgę tego Arymana. Nie dość mu tego, że panuje nad nami od kolebki do grobu, że nas uprawnia jako uczestników społeczeństwa, że nas łączy i rozdziela w najważniejszych związkach, że kontroluje w życiu i rozporządza nami po śmierci, jeszcze usiłuje zdusić naszą oświatę. Według ustawy szkoły ogólnokształcące obowiązane są w swych programach mieć wykład religii. Otóż kler postanowił wyzyskać ten przymus dla zamknięcia wszystkich szkół polskich, które nie chcą poddać się jego tyranii. Nie ma on odwagi i mocy odmówić swych usług rządowym, więc ograniczył swój zamach do prywatnych, którym daje do wyboru albo bezwzględną uległość, albo nieuzyskanie prefekta. Większość ich z własnej lub przymuszonej woli zgodziła się na pierwszą konieczność; kilka stawiło opór. Rozpoczęła się cicha, wstrętna i gorsząca, pełna obłudy i wykrętów komedya pozwalania księżom na dawanie lekcyi w nieprawomyślnych szkołach jawnie a zakazywania im tajemnie. Całemi miesiącami ciągnęły się zabiegi z jednej strony, a kłamstwa z drugiej, co pewien czas mianowano prefektów, którzy widocznie mieli polecenie wywoływania zatargów z najbłahszego powodu. Nikt ich nie drażnił, nie ograniczał, nie przeszkadzał nawet w lżeniu przed uczniami osób i rzeczy, które młodzież szanuje — wszystko to nic nie pomogło. Po pewnym czasie ksiądz znikał, a gdy nakłaniano go do powrotu, stawiał warunki niemożliwe do przyjęcia: zmiany dyrektora, nauczycieli i rozkładu lekcyi, usunięcia z biblioteki pewnych książek i czasopism i t. p. Cała ta lisia polityka stwierdza dwa fakty, które należy zapamiętać: naprzód, że kler nasz wtedy tylko oddaje usługi religijne, kiedy w zamian za nie otrzymuje władzę i powtóre, że on idzie dalej, niż wszystkie inne czynniki nieprzyjazne rozwojowi oświaty narodowej u nas i sam jeden dąży do zamykania szkół polskich. To staranie winno mu być policzone i zapisane w dziejach jego chwały. Może nigdy nie okazał dowodniej jak daleko odsunął się od swych pierwotnych mistrzów, którzy nieśli swoją naukę do pogan, nieodstraszeni największemi przeciwnościami i najokrutniejszem męczeństwem; jak mało waży sobie religię a jak wiele władzę, jak szczerze nienawidzi oświaty narodowej, która nie służy jego interesom. Najprzykrzejsza świadomość jest jednak korzyścią, bo uwalnia od złudzeń i rozjaśnia rzeczywistość. Jawny i kryty atak księży na szkoły polskie w Kruszynku, Gołotczyźnie, Warszawie, Suwałkach i innych punktach zniszczył zupełnie legendę o naszych poczciwych, wyrozumiałych, patryotycznych kapłanach, którzy może gdzie wyjątkowo tają się przed argusowym wzrokiem swej zwierzchności: na widowni pozostali kosmopolityczni jezuici i bojowcy, którym krzyż służy tylko za rękojeść do miecza lub sztyletu".

SILVA RERUM.

C. K. PROKURATORYA PAŃSTWA A MORALNOŚĆ PUBLICZNA. Powieść apokryficzna naczelnego redaktora naszego pisma, p. Gustawa Daniłowskiego, p. t. „Marya Magdalena" uległa już po raz wtóry konfiskacie. Wykreślanie całych ogromnych ustępów tam nawet, gdy inkryminowany występek w paru co najwyżej wierszach jest zawarty, uniemożliwia wręcz dalszy druk powieści. Dzieło sztuki, którego pierwsze zaraz fragmenty stawiają je między najcelniejszymi utworami powieściowymi literatury polskiej, nie może być udostępnione ogółowi, lub szukać musi sobie drogi do ogółu przez interpelacye parlamentarne. Zabija je tenże ołówek prokuratorski, który tak pobłażliwie odnosi się do wszelkich „Bocianów", „Niemiłych historyjek", „Heroldów" i innych pism, których treść wypełnia przecież ordynarna pornografia.

Konfiskowano „Maryę Magdalenę" za obrazę obyczaj-

-ności publicznej, popełnioną przez odtworzenie znanych obyczajów Wschodu w epoce hellenistycznej, odtworzenie nawskróś artystyczne. Bardziej niezgodne z „obyczajnością publiczną“ wedle pojęć dzisiejszych cesarsko-królewskich prokuratorów obrazy i opisy znajdują się w masowo rozprzedawanych powieściach Paul Louysa i Oktawiusza Mirbeau.

Niezrozumiałą jest więc miara, którą stosuje do naszego pisma p. prokurator. Mamy nadzieję, że rychłe uchwalenie noweli prasowej, znoszącej postępowanie objektywne, położy nareszcie kres nowej erze konfiskat, tak dotkliwie dającej się „Życiu“ we znaki.

Co do powieści, tej rozgłos konfiskatami wywołany przysporzy chyba tłumy czytelników i nabywców.

PIĘĆDZIESIĄTA ROCZNICA „OSWOBODZENIA“ WŁOŚCIAN ROSYJSKICH. Wbrew praktyce dotychczasowej dozwolono konstytucyjnej Rosyi złożyć w rocznicę manifestu znoszącego pańszczyznę hołd pamięci „cara oswobodziciela“ i pozwolono łaskawie manifest ów zestawić z październikowym manifestem konstytucyjnym r. 1905. Zakazano tylko wiecować i przemawiać opozycyonistom, krytyce zakneblowano usta nie dopuszczono do śmielszych aluzyi, a nawet pochwałom słuszne wyznaczono granice, zgodnie z duchem rządnej i prawdziwej wolności rosyjskiej.

Cieszyła się więc Rosya, że przed pół-wiekiem chłop rosyjski na skutek porażki krymskiej i podnoszącej się fali polskiego buntu przestał być niewolnikiem swego dziedzica, p o m i e s z c z y k a, narażonym na śmierć knutową, wystawianym na sprzedaż, obdzieranym i hańbionym; że rękę swą położyło na nim państwo, które nasamprzód dopuściwszy się na nim przy nadziale operacyi bezlitośnej, nałożywszy nań brzemię wykupu, dwukrotnie przenoszącego wartość nadanej ziemi, w zamian za owe dobrodziejstwo zagarnęło na swoje wyłączne dobro prawo do życia chłopskiego, chłopskiej skóry, chłopskiej nędzy i hańby.

A potrafiło ono zastąpić godnie szlachtę rosyjską w gnębieniu chłopa, przeciągnąć istnienie stosunku poddańczego aż po wiek XX. i w tym jeszcze XX. wieku ukazywać Europie, od widowisk takich odwykłej, krwawe grzziety zaćwiczonych na śmierć „mużyków“. Gdy Kościuszko uniwersałem połanieckim naraz redukował ciężary pańszczyźniane, dawał chłopu pełną swobodę osobistą i prawo jego do ziemi oddawał pod opiekę państwa, car oswobodziciel ciężary pańszczyźniane w nowej formie uwieczniał, chłopa zamieniał w niewolnika gminy i państwa, każąc mu prawo do ziemi. okupywać chronicznym głodem, chorobami, zwyrodnieniem.

Gdy Napoleon Wielki, przeprowadzając jednostronnie i połowicznie reformę rolną w Polsce, zdzierał chłopom buty wraz z kajdanami, jednocześnie przecież otwierał do Polski drogę wielkiemu przemysłowi fabrycznemu i oświacie mas ludowych. Car oswobodziciel widział cement dla swojego dzieła w ciemnocie mas, ich bierności, ich zamknięciu w gminie, ich rozpajaniu wódką. Gdy Prusy, uzupełniając niebawem po kongresie wiedeńskim dzieło napoleońskie, dokonały uwłaszczenia chłopów, chcąc nie chcąc stworzyły fundament silnej ekonomicznie i zdrowej drobnej własności rolnej.

W zaborze rosyjskim walka o taką reformę rolną przyniosła zamknięcie Towarzystwa Rolniczego, rzeź na placu Zygmunta; fakt zaś, że uwłaszczenie włościan w Polsce i na Litwie nieskończenie korzystniej dla nich wypadło, niż w Rosyi, dziełem był heroicznego aktu ofiary patryotów polskich, którzy umrzeć postanowili „niosąc kmiotkowi własną ręką to, co mu od nas i przez nas się należy“.

W sprawie uwłaszczenia raz jeszcze ukazała się otchłań, dzieląca Rosyę wczorajszą i dzisiejszą od tego „zgniłego Zachodu“, do którego my należymy z krwi i kości.

(Nego) Z TEATRU. Car Paweł, dramat w 5 aktach Dymitra Mereżkowskiego.

P. Mereżkowski, jeden z najbardziej utalentowanych autorów rosyjskich z wysoką kulturą. Dramatem swoim sprawił przykry zawód nieznającej go z lepszych stron publiczności.

Wyniósł na scenę temat w swej treści istotnie tragiczny, ale potraktował go jako historyk, a nie twórca. Dowiadujemy się jak było i co było mamy wrażenie wprowadzonego do sali tronowej turysty, któremu przewodnik pokazuje plamy krwi, tak obficie zraszającej pałace carów rosyjskich, gdzie ojcowie mordowali synów, żony mężów synowie rodziców.

P. Mereżkowski w roli tego przewodnika usiłuje być bardziej wymownym i jedną z tych tragedyi z wiernością historyka każe żywcem odtworzyć, sądząc, że te inscenizowane mordy, duszenie cara na widowni wstrząśnie widzami jak ongi rzeczywistość. Zapomina, że teatr nie znosi brutalnej prawdy, że tego rodzaju kinematograficzne zdjęcia nie mają nic wspólnego ze sztuką, która emocyonalne stany wywołuje przez subtelne środki stworzenia odpowiedniego nastroju, a nie przez nagromadzenie jaskrawych materyalnych faktów.

Jeden przenikliwy krzyk za kulisami, dający znać że coś strasznego się staje i zostawiający pole swobodnej grze umiejętnie nastrojonej wyobraźni wywołuje stokroć większy efekt, niż ta zakrawająca na burdę szarpanina odzianego w bieliznę człowieka, wzbudzająca śmiech i niesmak.

Pan Mereżkowski jest zbyt zdolnym pisarzem, by w tej chybionej robocie nie błysnęła tu i ówdzie iskra szczerego talentu.

Charakterystyka środowiska cara Pawła, oraz Aleksandra, którego połowiczna osobowość, cechująca cały okres jego panowania, zapowiadą się z pierwszych jego kroków — uchwycona jest dobrze. Scena Pawła z hr. Pahlenem — odegrana znakomicie przez p. Szoberta i Adwentowicza — jest bardzo udatna. Wszystko się dzieje w sali tronowej po morderstwie — (oczywiście oprócz obrzydliwości sprawy „spuchniętego języka“) jest skonstruowane bez zarzutu, a stan nie oryentującej się w tem obcem środowisku cudzoziemki carowej — przedstawiony wzruszająco.

Sztuka niewątpliwie by zyskała, gdyby za cenę przedstawienia we wszystkich szczegółach przebiegu morderstwa nie usunięto kilku innych wcale dobrych momentów. Po za tą omyłką reżyseryi — rzecz była wystawiona starannie i grana dobrze.

Pan Adwentowicz miał chwile świetne, ale nie możemy się zgodzić na traktowanie cara jako obłąkańca. Paweł jest niewątpliwie psychopatą, ogarniętym trwogą przeczuwanego spisku ale nie jest bynajmniej waryatem, jak nie był nim pomimo swych anormalności Iwan Groźny, pomimo dziwactw Piotr, albo wogóle nacechowana wielu zwyrodnieniami posępna dynastya despotów.

Pan Srokowski wywiązał się z trudności przekładu bardzo sumiennie, oczywiście niektóre czysto rosyjskie wyrażenia jak naprzykład „naplewat'“ — nie mogły być ściśle oddane i może byłoby lepiej zachować w tekście ten charakterystyczny rusycyzm.

SUFRAŻYSTKI PRZY OSTATNICH WYBORACH. (m) Sufrażystki lwowskie przegrały na całej linii. Dwadzieścia jeden zielonych list nadziei, jakie zdołały doprowadzić przez pełnomocników do urny wyborczej, — to cyfra ogromnie znikoma na około 4000 kobiecych legitymacyi, to świadectwo — darują panie — trzeciego stopnia przy pierwszym egzaminie dojrzałości. Można czuć się serdecznie wzruszonym wiernością dwudziestu z minimalną nadwyżką błędnych rycerzy, można ich uważać za jedynie godnych w przyszłości kandydatów na listy kobiece (szkoda, że nazwiska pozostaną w wiecznej niepamięci), można ich nawet uważać za dwudziestu apostołów, ale taktykę sufrażystek, która do tak nie wesołego, choć bardzo uciesznego wyniku doprowadziła, trzeba nazwać niefortunną i politycznie niedojrzałą.

Sam pomysł osobnej listy kobiecej był poroniony. Lista taka może mieć jakiś sens dopiero wtedy, gdy kobiety uzyskają prawo osobistego głosowania. Wtedy mogłyby przynajmniej policzyć ilość sufrażystek. Dzisiaj liczyć na to absolutnie nie były powinny, bo zmysł pantoflarski wyborców może być ogromnie nawet wielkim w domu, przy ciepłej pogawędce, ale niepodobna go żądać na arenie politycznej. Szanowne panie mogą kazać dzieciom zrobić coś niemądrego, dzieci zrobią to bezwątpienia, ale wyborcy, wyrośli już z majteczek, nie będą bardzo chętni dla mamusinego czy ciocinego nakazu, jeżeli uznają go rzecz nieroztropną. Panie sufrażystki, jeżeli chciały okazać dojrzałość polityczną, powinny to były przewidzieć. Tak się nie stało — i stąd kwas.

Niedoświadczenie sufrażystek nie poprzestało na błędzie wydania osobnej listy. Równie wielkim błędem był asenterunek kandydatów przy układaniu owej zielonej literatury. Trzeba być choć odrobinę konsekwentnym. Skoro się już wydaje listę sufrażystek, trzeba przypuszczać, że znaleść się tam mogą jedynie zdecydowani zwolennicy

równouprawnienia płci, albo raczej zdecydowane na tę koncesyę grupy polityczne. Inaczej pojąć nie można celu osobnej listy. Chcę równych praw, więc chcę głosować tylko na tych, którzy w razie wyboru dać mi te prawa są skłonni. Mniejsza wtedy o to, ile takich list dostanie się do urny, ale wiem, że każda oddana taka lista wzmacnia zwolenników równouprawnienia, nie przyczyniając ani jednego głosu — co może być nieraz rozstrzygające — przeciwnikowi. Tak mówi chłodna logika.

Panie natomiast urządziły pobór, polegający na kwalifikacyach tak różnorodnych, iż przeglądając listę miałem wrażenie, że to zabawa w „cenzurowanego", albo jeszcze lepiej „w ciuciubabkę". Na miły Bóg! Można być nieocenionym causeurem lub rozreklamowanym patryotą, można być poczwórnym eleuterykiem lub najsympatyczniejszym wodzirejem, można być arcykapłanem emancypacyi lub opiekunem upadłych, można być nawet aniołem w ludzkiem ciele lub bezinteresownym działaczem, ale z tego nie wynika, ażeby pomieszanie tego wszystkiego w bigos sufrażystkowy przypadło do gustu uświadomionemu politycznie wyborcy.

Czynię tę uwagę czysto teoretycznie. Wyborca uświadomiony — nie hyena — idzie do urny, ażeby rozegrać jakąś grę polityczną, ażeby zdobyć zwycięstwo dla sympatycznego sobie światopoglądu ideowego, ażeby działanie społeczne cofnąć, powstrzymać lub posunąć naprzód, ale nie idzie tam nigdy w smokingu, jak się idzie na wizytę, gdzie dla każdego sąsiada ma się zdawkowy uśmiech, a dla pań karmelki albo komplimenty. Wyborca chce czegoś. Panie nie chciały niczego. Raczyły zwrócić ukłony na wszystkie cztery strony świata, sądziły, że czynią bardzo etycznie, gdy w rzeczywistości była to staroświecka galanterya, ogromnie — przypuszczam — dla kandydatów przyjemna, ze stanowiska etyki zupełnie obojętna, w świadomej akcyi wyborczej dla dojrzałego polityka niedopuszczalna.

Dwa zasadnicze błędy pomściły się, nie mogły nie pomścić się. — Sprawy nikt w rezultacie nie bierze tragicznie, nawet ci, którzy łudzili się, że między słowami a czynami sufrażystek istnieje jakiś wspólny mianownik. Wynik jest dla pań najmniej wesoły, i ma w sobie tyle humoru, że wypełni doskonale niejedną rozmowę salonową w najbliższym sezonie. Może nawet będzie dla pań nauką na przyszłość, że nie zaszkodzi i mężczyzn czasem posluchać. Na razie legitymacye kobiet były—jak zawsze dotychczas — przedmiotem handlu, którego politycznie najbardziej skorzystali „jedynie narodowi", finansowo najbardziej zręczne hyeny wyborcze. Marzenie o równouprawnienin, jak można już sądzić z dotychczasowego skrutynium, rozwiało się w mgły, jak sen nocy letniej. 99 prc. wyborczyń przez swoje zachowanie się powiedziało, że walka o równouprawnienie płci to tylko tytuł czy pretekst do mniej lub więcej nastrojowej pogadanki z płcią paskudną, nie zaś robota na seryo. Etyka, którą sufrażystki propagowały, mocno przy wyborach ucierpiała, raz z powodu sprzedaży legitymacyi, powtóre wskutek niezmiernego pijaństwa, na które poszedł tegoż samego wieczoru zarobek hyen wyborczych. Tak to nadobne panie — kończy się polityka apolityczna. Przepowiadali to przed wyborami zwolennicy rozszerzenia praw kobiecych. Nie posłuchałyście. Zrobiłyście po swojemu. Jeżeli chcecie na przyszłość zwyciężyć, słuchajcie rady dobrych przyjaciół. Inaczej przepadniecie znowu przy nowym egzaminie politycznej dojrzałości.

Przy obecnych wyborach pomogłyście w rezultacie przeciwnikom reformy i równouprawnienia. Ha! Może taka była wasza wola. Może to był wasz kapitalny dowcip wyborczy...

KOLONIZACYA POLSKA W PARANIE. Niezwykle silne poruszenie w prasie polskiej zaboru rosyjskiego wywołała świeżo sprawa wychodźctwa do Parany. Rozwinięto w prasie ludowej energiczną akcyę za skierowaniem celowem w tym właśnie kierunku całej naszej agitacyi osadniczej; zwrócono uwagę na to, że jeśli w tym momencie ostatnim nie skorzystamy z niezwykle dogodnych warunków dla naszego tam osadnictwa i polskość nie rozsiędzie się tam zwartą masą, to wychodźctwo nasze w dyasporze po różnych krajach starego i nowego świata ginąć będzie bez żadnego pożytku dla narodu z umniejszeniem liczby jego i siły.

Zanim dzielny propagator kolonizacyi polskiej w Paranie, p. Michał Pankiewicz, niedawny gość w naszem mieście, pełniejszych udzieli informacyi czytelnikom „Życia", zrekapitulujemy za „Kulturą" warszawską wywody prasy o Paranie, dodając od siebie, że zarzuty, czynione tam Towarzystwu emigracyjnemu zdają się nam być przedwczesne i nie sądzimy, by grała tu rolę jakaś chęć odwracania strumieni wychodźctwa w inną stronę.

„Lud nasz — pisze „Kultura Polska" — wlał się już wielką falą w jeden ze stanów Brazylii południowej, który posiada 227 tysięcy kilometrów kw. obszaru i 360 tysięcy mieszkańców, w tem do 90 tysięcy Polaków, osiedlonych zwartą masą na płaskowzgórzu, wzniesionem 1000 metrów ponad poziom morza z klimatem bardzo zdrowym i ciepłym,z powietrzem, zawierającem dużo ozonu. Gleba urodzajna, niektóre rośliny dają po kilka zbiorów rocznie. Największa jest uprawa kukurydzy, wybornie się udają pomarańcze, winogrona i wogóle owoce południowe. Duże zyski daje też kolonistom herbata zwana h e r w a - m a t e. Nadzwyczaj plenna odmiana kartofli miejscowych nadaje się szczególnie na wypas świń.

„Przed 40 laty był to jeszcze kraj dziewiczy, pokryty lasami lub stepami, którego dziki mieszkaniec, kaboklo, potomek dawnych portugalczyków i murzynów, marł głód i nędzę. Kulturę wniósł tu dopiero chłop polski, niestrudzony, nieulękły pracownik. Bieda i poniewierka wygnały go z ojczystej ziemi, tu zaś w kraju wolnym i bezpańskim, jego dzielna ręka stworzyła wszystko W ojczyźnie nie miał swego dachu nad głową i musiał jeść nieraz gorzki chleb wyrobnika lub parobka, dziś wielu z tych dawnych, wygłodzonych i dziurami okrytych nędzarzy posiada gospodarstwa po 200, 300, 500, a nawet 1000 morgów.

„Właściciele 20 lub 15-sto morgowi uważani sa za biedaków. Pierwsza kolonia polska, Pilarzinja, została założona w r. 1870. Kurytyba, wówczas nędzna mieścina, licząca nie więcej nad 100 mieszkańców, dziś ma ich 40 tysięcy, urządza tramwaje elektryczne, a telefony i oświetlenie elektryczne, posiada nawet Araukaria o paru setkach ludności. Praca, taki plon dająca, wolność, niezależność, poczucie odpowiedzialności i mocy, zbudziły, utajone w duszy chłopa polskiego, pierwiastki wyższej wartości ludzkiej, hardość ducha i godność wolnego człowieka. Taprzedstawia się on tym, którzy mają możność zobaczenia go. Temu, fizycznie zdrowemu i dobrze rozwiniętemu potomkowi zbiedzonego wychodźcy, potrzebna tylko oświata: dobre szkoły, niespętane klerykalnemi powijakami, dobre książki i uczciwa, rozumna prasa.

„Osobistością niezwykłej wartości jest niedawno osiadły w Araukaryi ks Józef Anusz. Stara się on obudzić w otaczającym go ludzie potrzebę wyższych zadowoleń ducha. O koloniście polskim tak mówi: „Małomówny, stateczny, bezpański, o charakterze tak silnym, jak kanele lasów parańskich, a tak szerokim, jak przestrzenie naszych stepów. Nawet w kościele modlą się inaczej, niż europejscy rodacy". Ks. Anusz, który uważa Paranę za ziemię obiecaną dla wychodźctwa polskiego, zarzuca p. Józefowi Okołowiczowi z polskiego Tow. Emigracyjnego w Krakowie, że pomimo, iż zna Brazylię, zwracających się do niego po wskazówki wychodźców objaśnia błędnie i niedbale, że pisząc w P r z e g l ą d z i e E m i g r. o powstaniu nowego stanu Missaes z przeważającą ludnością polską, naraził na śmieszność Polaków, których jest tam tylko 4 do 5 tysięcy na 100 ogółu mieszkańców i dodaje w końcu: Doprawdy trzeba być Polakiem mądrym po szkodzie, żeby teraz zastanawiac się nad tem, czy popierać wychodźctwo do Brazylii. O ileż rozumniejsi są Rusini; oni już kształcą swoich w Akademii handlowej w Hamburgu, żeby w przyszłości owładnąć handlem w Paranie".

Na więźniów i zesłańców

złożyli w dalszym ciagu w administracyi naszej: Joachim Sołtys 10 K (przez p. k. o.); M. Sosnowska 3 K.; Bolesław Limanowski 10 K.; E. Zabłocki 10 K.; Pułanki 3 K.; J. Głodkiewicz 4 K. Poprzednio wykazanych 70 kor.; razem 110 K.

Wzywamy do dalszych składek!